

ZŁOTY RÓC
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNY



REDAKCJA i
ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 152-05.

N^o

WARSZAWA

DNIA 27 KWIETNIA 1913 R.

17

TEATRY UBOGICH.

Oddawna utarła się na Zachodzie dla kinematografów nazwa teatru ubogich. Nie znaczy to, by kinematograf był surogatem prawdziwego teatru, by mógł misję jego przyjąć na siebie w zupełności i dać widzom tę sumę wrażeń estetycznych, oraz intelektualnych, jaką daje przedstawienie teatralne.

Wartość dramatu i komedji mieni się w żywym słowie, które działa bezpośrednio na umysł teatralnego widza. Mimika, gest są tylko czynnikami posiłkującymi dramatu uzależnionymi od potęgi najwyższej słowa, któremu wszystko w teatrze współczesnym jest podporządkowane.

Kinematograf wynosi z teatru tylko ułamek dramatycznej akcji, uchwycony na dwuwymiarowej płaszczyźnie, rzuconej na ekran kinematograficzny.

Jeżeli widzimy na ulicy osoby wykonujące gwałtowne ruchy, staramy się zbliżyć do nich, by usłyszeć o co tej grupie chodzi. Gdy nic nie usłyszymy, nie zadawaliśmy się widokiem samej akcji i odchodzimy zawiedzeni niejasnym zjawiskiem.

Obraz kinematograficzny reprodukuje akcję dramatu w wyższym stopniu niepokoi harmonję uczuć estetycznych, niżli zdarzenie uliczne.

Kinematograf przetwarza dramat na pantominę, pozbawioną najszacowniejszego przymiotu i plastyki. W ostatnich czasach muzycy starają się wydobyć pantominę z pyłu zapomnienia, tworząc dla niej oryginalny podkład muzyczny, który staje się duszą i wyrazem pantominy, jeżeli jest dziełem pierwszorzędnej wartości muzycznej, jak np. Dohnany'ego „Zamaskowany pierrot“ z tekstem Schnitzler'a. W łączności gestu z rytmem muzycznym tkwi artystyczna wartość pantominy.

Kinematograf obywa się bez pomocy muzyki. Używana powszechnie nieudolna ilustracja muzyczna jest bezwartościowem quodlibet znanych operetkowych melodji nie łączących się organicznie z akcją przedstawioną na scenicznej filmie.

Jak widzimy, środki kinematografu są a prio-

ri ograniczone i nigdy za pomocą nich nie będzie można w mechaniczny sposób otworzyć iluzji teatru, nawet przy pomocy najśmielszych pomysłów Edisona, łączącego skrzek gramofonowy z filmą i nazywającym całość „teatralnem widowiskiem“.

Kinematograf wobec teatru spełnia rolę rekłamy, uchylając na ekranie rąbek tych misterjów, jakie od czasów Sofoklesa po dzień dzisiejszy w teatrach odprawiają prawdziwi i nieliczni kapłani sztuki.

Szybki rozwój przedsiębiorstw kinematograficznych odciągnął na czas pewien część teatralnych widzów, wabiąc ich wygodą i niską ceną. Z drugiej zaś strony sprawił, iż liczne warstwy ludności, które prócz gospody nie znały innej rozrywki, poczęły garnąć się ku owemu surogatowi teatru i poczęły w nim kształcić się na widzów prawdziwego teatru.

Dziś przedsiębiorstwa kinematograficzne przechodzą kryzys. Rzucono na ekran wszystko co soczewki aparatów wszystkich krajów pochwytać mogły! Dla kinematografu pozyskano niemal wszystkie talenty aktorskie i część pisarskich. Z tej nerwowej gorączki filmy przeziara jednak widmo upadku! Udoskonalono techniczną stronę widowiska w sposób niezwykle, wykorzystano wszystko, by działać na nerwy widza, by siłą brutalnych wrażeń wzrokowych zabijać owe pożądanie dusz ludzkich w poezji dramatycznej wyrażone.

I stało się, iż widz kinematograficzny zapragnął nareszcie prawdziwego teatru, nie zadowolając się niemałą płaską sylwetą ekranu.

Ignorancja kinematografu prasy i kinematografu szkoły, oraz niewybredne wartości obrazów przyczyniły się do wzrostu demoralizacji w miejskich środowiskach.

W organizacji centrali kinematografu w Berlinie i Paryżu popełniono liczne błędy, starając się gwałtem działać sensacją i kryminalistyką, zamiast utrzymać się w pięknej roli zapoznawania nas z przyrodą i nieskończoną ilością jej zjawisk i obrazów.

Naśladownictwo teatru w kinematografie jest równią pochyłą po której stacza się ekran kinematograficzny, ścieląc się do stóp potężnej władczyni Melpomeny. Liczba kinematograficznych teatryków niebawem wzrosła w ciągu ubiegłego pięciolecia, dziś powoli topnieje w kulturalnych centrach Europy.

Marjan Dienstl.



Szkółki Polskie w Londynie.

Liczna emigracja nasza w największym mieście na świecie, broni się dzielnie i skutecznie od wynarodowienia i zaguby młodych pokoleń dla ojczyzny. W tej samozachowawczej działalności jedyną bodaj skuteczną bronią jest szkoła. Przeciwwstawiać się wzorowej i bogatej szkole angielskiej, angielskim ochronkom, stowarzyszeniom — zadanie niemożliwe do spełnienia. Tedy wychództwo nasze w Londynie, zorganizowało niedzielne i czwartkowe „szkółki“ dla dziatwy polskiej. Szkółki te mają za zadanie nietyle kształcenie ogólne, które przecie daje wysmienita, a bezpłatna szkoła angielska, lecz ratowanie w dzieciach pierwiastków polskości, polskiej mowy, polskiej wiary...

Bez żadnej pomocy z kraju funkcjonują dziś w Londynie trzy takie szkółki polskie. Jedna, utrzymywana jest całkowicie przez tutejszą filantropkę p. Pace, która kosztem 200 funtów rocznie prowadzi ją już od lat kilku w najbiedniejszej dzielnicy Londynu na *Old Fort Road 17*. zbożną pracą, i liczy przeszło 50-ro dzieci. Nauczycielską pracę w szkółce prowadzi państwo Kaim.

Druga szkółka, założona przez ks. Langnera przy kościele Misji Polskiej w Londynie, dziwną i smutną koleją losów wyrzucona z domu Misji Polskiej przez obecnego proboszcza ks. Bujarę, znalazła w r. z. gościny przytułek w gmachu Polskiego Towarzystwa w Londynie na *Charles Square, Hoxton N*. Właśnie 6 kwietnia urządziła szkółka ta popis, którego program podajemy poniżej.

Program obchodu:

1) Od godziny 3 do 5 po południu publiczny egzamin dzieci. 2) O godzinie 5 i pół rozdanie nagród i ugoszczenie dzieci. 3) O godzinie 7 wieczorem: a) Śpiewy chóralne dzieci, b) deklamacje, c) solo śpiew Zosi Grynkiewi-

czówniej „Życzenie“ Chopina, d) dzieci odegrają teatryk: „ZIEMIA OJCZYSTA“, obrazek sceniczny, osnuty na tle wywłaszczenia Braci naszych w Księstwie poznańskim przez barbarzyńskich Prusaków.

Rano o godzinie 9-tej przystąpiły dzieci wspólnie do spowiedzi i komunii św.

Obchód wypadł nadzwyczaj pięknie. Szkółkę prowadzi bezinteresownie, a z ogromnym, jak na nasze stosunki, nakładem osobistej pracy i środków materialnych, młody doktor p. Tadeusz Karchowski, znany działacz oświatowy z poznańskiego.

Podobiznę dziatwy z nauczycielem podajemy w niniejszym numerze „Złotego Rogu“.

Wreszcie trzecia szkółka założona została w robotniczej dzielnicy *Charlton*, gdzie huty szklane zatrudniają do setki naszych robotników. Szkółkę prowadzi p. Sypniewski, pobierając bardzo skromne, jak na pracę nauczycielską z 20-giem przeszło dzieciarni, wynagrodzenie od rodziców. Uważamy to jednak za objaw niezwyklego wprost wśród robotniczej ludności naszej wyrobienia, skoro nie poprzestając na zwykłej „filantropji“ i „dobrych chęciach“ praktycznym czynem ugruntowana została działalność szkółki.

Sprawiedliwość nakazuje dodać, iż ks. Bujara prowadzi przy kościele Misji Polskiej w Londynie na *Mercer Street*. katechizację dzieci w polskim języku, zaś pewna pani gromadzi również kilkoro dziatwy u siebie na lekcje w ojczystym języku. Jednak prawidłowo funkcjonują jedynie trzy, wyżej wspomniane, szkółki, które razem, blisko 100 dzieci wychodźców polskich w Londynie, ocala od wynarodowienia.

Objaw tworzenia się takich szkółek na obczyźnie jest bardzo pożądanym, nietylko bowiem, jak to już wspominaliśmy na wstępie, kształci i broni od wynarodowienia, lecz również jest i moralną ostoją dla dziatwy naszej, którą los rzucił poza granice ojczyzny.

M. Dąbrowski.



Grupa dzieci z polskiej szkółki w Londynie z nauczycielem p. Karchowskim.

LISTY Z BALKANU.

(Własna korespondencja „Złotego Rogu“).

Dokończenie korespondencji IX.

W TWIERDZY SERBII.

(Nisz z lotu ptaka. Szczególny paradoks. Straszne trofeum tureckiego barbarzyństwa. Serbska reduta Ordon. Powrót żołnierza z wojny).

Przez takie przedmieście, niby przez wieś cichą i spokojną, pójdziemy na wyniosłe wzgórze moich codziennych spacerów i z lotu ptaka przyjrzymy się pierwszej twierdzy serbskiego królestwa.

Regularnym pierścieniem białych gór otoczone, leży w dole rozległe, szeroko rozrzucone miasto. W czarnej obręczy żelaznych szyn, biegnących z Belgradu na południe, i błękitnej strugi Niszawy, która po drugiej stronie wartko toczy swoje bystre wody, w kotlinie zamkniętej dookoła kręgiem gór, osypanych śniegiem, jak pyłem miątkiego cukru — bieli się miasto, zalane potokiem intensywnego słońca południa — biela się małe, schludne, mury chatki przedmieścia pochowane po zielonych sadach i granatowych ogrodach, przyozdobione kraśnem malowidłem, pokryte czerwienią dachówki i oplecione powojem winogrodu — dźwigają się ciężkie masy cerkiew i szarych gmachów rządowych, odcinających się wyraźną bryłą od miniaturowych domków prywatnych, kupiących się w ich cieniu, niby pęki szarotek przy złomach ciemnych skał — i pną się prosto w niebo precudne, strzeliste igiełki wysmukłych minaretów, błyszczących pod słońcem całem ze złota, jak westchnienie do Boga, przemienione w biały kamień nieśmiertelnej modlitwy.

W południowej ciszy leżącej nad miastem, przestworem rozedrganego powietrza płynie do nas melodia kolorów, nasyconych żarem słonecznym. Bo barwy mają także swoją melodię. Jak muzyka mają swoje fragmenty ciemne i jaskrawe, swoje piana delikatne i basy wtórujące i półtony zeiszone. I jak muzyka dają nam wzruszenia, których żadne słowo nie odda, albowiem więcej w nich nieuchwytniej głębi, niżli rysów dokładnie ustalonych.

A tutaj melodia kolorów osiąga stopień najwyższej doskonałości, grając symfonię barw, które tylko magiczne słońce południa zdolne jest z cieniów i światła wyczarować.

Atoli obraz całości, chociaż tak piękny i tak ciekawy, *pełnej* harmonji wzrokowej nie daje. Psuje ją impet — serbskiej cywilizacji.

Jest to bowiem taki szczególny paradoks do zanotowania: podczas gdy z bliska pozostałości tureckiej gospodarki kołają oczy brudem i opuszczeniem a dzieła ręki serbskiej niosą wrażenia czystości, która działa kojąco — zdaleka rzecz ma się wręcz odmiennie.

Z daleka wszystko co turcy zostawili jest pełne uroku i tajemniczej malowniczości, a wszystko co Serbja oficjalna wzniosła, co rząd albo społeczeństwo wspólnymi siłami wybudowało, razi niezgrabnością i niesmakami.

Weźmy n. p. pomniki religji. Jaką precudną bajką architektury orientalnej są tureckie meczety i minarety! a jakże beznadziejnie w ich sąsiedztwie wyglądają cerkwie serbskie — ociężałe kolosy, w dole przysadkowato rozkraczone — u góry w banie opuchłe wydęte.

Albo budowle rządowe. Turcy wyciskali na nich swe piętno egzotyczne, nadawali im kształty oryginalne, budując choćby nawet prozaiczne koszary w sposób ciekawy i oko ciągnący, gdy natomiast te same budowle serbskie, prowadzone na naśladowniczą modłę Europy, szablonowe i bezbarwne, ospałe i opasłe, rozsiadają się na barwnym kobiercu wschodu takim dyssonansem, jak niekształtne hipopotamy drzemiące sennie wśród stada figlarnych antylop.

Tak. To wszystko prawda. Ale Turcy po-



Oficer turecki, więziony jako jeńiec w twierdzy w Niszu.

zostawili w Niszu jeszcze jedną rzecz wysoce — „oryginalną“.

Jest pod miastem, niedaleko szpitala wojskowego, zmurszały ułamek muru, pełny szczelin, ran i mchu, w którym świecą się pomiędzy bryłami kamienia, białe plamy zwietrzałe na słońcu i deszczu — ludzkich kości!..

Było to w czas bojów Czarnego Dziordzia — gdy po ziemiach serbskich poszły fale narodowych tęsknot i raz w raz, to tu, to tam, w odmiennych punktach kraju zapalały płomienie „buntu i rewolucji“.

W r. 1809 pożar ogarnął Nisz, stolicę paszalicatu i twierdzę ówczesnej, tureckiej potęgi. Serbowie zeszli z okolicznych gór i otoczyli miasto pierścieniem oblężniczych redut. Długo trwały zapasy, lecz w końcu przemoc wzięła górę. Turcy, odpierając oblegających, brali szaniec za szanecem bezpowrotnie. Serbom pozostał już był tylko jeden — ostatni! Bronił go Stefan Singelicz.

Otoczony ze wszęch stron, pozbawiony obrońców, którzy padli i własnej ręki, którą kula mu strzaskała — gdy Turcy wdarli się już na przykopy i przypadli pod częstokół — wpadł pod ziemię i rzucił lont w prochy! i wysadził prochy, szaniec Serbów żywych i umarłych i Turków padłych i zwycięskich — wszystkich wraz z sobą w powietrze! — wysadził serbską redutę Ordon!..

Turcy zajęli już tylko gruz. I na pamiątkę drogo okupionego zwycięstwa zbudowali basz-

tę tryumfalną i mur biegnący wzdłuż drogi do Konstantynopola, kładąc kamienie i—czaszki popołu!.. Tysiąc dwadzieścia czaszek poległych Serbów! Raz kamień, raz głowa! raz kamień, raz głowa!..

Skóra na deszczach odpadła, mięso na słońcu wygniło i zostały tylko białe czaszki o pustych oczodołach i wyszczerzonych zębach, świecące pomiędzy kamieniami na straszne trofeum tureckiego barbarzyństwa.

Muru tego i baszty ostał do dzisiaj ułamek.*) Pozostawiono go, bo słodko jest w dniu szczęśliwe wspominać minioną niedolę. —

I tam to właśnie, pod tym szczytkiem muru, czczonego dzisiaj jak relikwja narodowej Golgoty, widziałem niezapomniany obrazek.

W purpurową lunę zachodzącego słońca, drogą od Skoplje, w kurzu i zmęczeniu szedł zapyłony objuczony wojennym uzbrojeniem żołnierz. Wracał ze skończonej wyprawy. Znużony był, ale chód miał rzeźki i oczy świecące. Wracał do domu dumny i zwycięski. Rozkochanem spojrzeniem witał swoje pola, swoje miasto przyglądał się okwieconym drzewom, rodzinnym chatom i sąsiedzkim ludziom pozdrawiał znajomych. psy wywoływał... i tak idąc w radości odświeżonej, doszedł aż do muru.

Tutaj przystanął, odłożył karabin, przykląkł, głowę pochylił i jał odmawiać modlitwę! Modlił się przed czaszkami swoich ojców, jak przed grobem męczenników świętych!..

Ja stałem opodal, a kolana same mi się gięły do ziemi — i w duszy rwało się coś, pałało jak ogień.

Pomodliwszy się, żołnierz powstał i ścieżką od stodoł wstąpił pod górę, do swej zagrody, co na wzgórzu stała.

Wypadła rodzina — żona, chłopcy i dziewczęta. Żołnierz uściskał żonę spokojnie i bez wylewów, jakby niedaleko z pola wrócił, i ucałował dzieci, przywołał najstarszego synka i dał mu karabin do oglądnięcia. A gdy syn się w milczeniu strzelbicie przypatrzył, ojciec wziął

broń do ręki złożył się w stronę *południa* i wypalił w powietrze. Echo pobiegło po górach odzewem powtórny, donośnym a żołnierz rzekł wtedy do syna: „Widzisz Marko, tak ja strzelałem do Turka!“

Były to pierwsze słowa ojca powracającego z wojny i długiej nieobecności.

A gdy wszyscy trwali dalej w przejętym skupieniu, ojciec oddał karabin synowi i rzekł: „Synu na ciebie teraz kolej!“

Syn broń odebrał i bez słowa zaniósł ją do chaty. Za nim poszedł ojciec, tuląc żonę do siebie.

Ostatnie promienie słońca wyzłociły pochylone ku sobie głowy a milczenie ich przywitał poważny szum świeżo rozpuszczonych liści starej lipy, rosnącej u progu.

A gdy wreszcie zginęli w chacie na radosne opowiadanie swoich trwóg i swojego szczęścia, z trudem oderwałem oczy od okien, rozgorzałych zachodzącym słońcem i powlokłem się w stronę miasta, niosąc w duszy niewysłowioną tęsknicę...

Mieczysław Jetowicki.

*) W numerze 11-ym „Złotego Rogu“ zamieściliśmy zdjęcie muru i baszty.



Forpoczyt albańskie (arnautów) pod Dżakową.

Z TYGODNIA

Choroba Ojca Świętego. — Nowy arcybiskup warszawski. — Pogrzebanie samorządu miejskiego. — Budowniczość. — Nowa stolica Australji. — Konkurs hydroaeroplanów. — Krzyżowce powietrzne. — Różne niebezpieczeństwa. — Zamach na króla Alfonsa i szczęście w nieszczęściu.

Przeciągająca się choroba Ojca Świętego, Piusa X, ze względu na wiek dostojnego chorego, budzi w całym świecie poważne obawy. Biuletyny, początkowo groźne, obecnie stwierdzają jakoby pewne polepszenie, jednakże ścisłej prawdy trudno dociec, bowiem sekretarz stanu, kardynał Mery del Vall, ze względów dyplomatycznych wszelkie

wiadomości, zanim się przedostaną z Watykanu, poddaje ścisłej cenzurze. Ewentualna katastrofa spowodowałaby wielkie zmiany w polityce Watykanu, bowiem jako następcę na stolicę Piotrową wymieniają kardynała Rampollę, sekretarza stanu za papieża Leona XIII, zatem można przypuszczać, że rządy byłyby zbliżone do rządów poprzedniego papieża, z przystosowaniem, rozumie się — do obecnych, wiece przez ostatnie dziesięciolecie zmienionych warunków.

Obecnie panujący nam Papież Pius X pobożnością swą i dobrocią zwrócił już na siebie uwagę wówczas, gdy jako skromny kapłan — na wikarjacie i na

stępnie na probostwie, rozdawał wszystkie swe dochody biednym, sam nieraz nie mając należytej strawy i wygody.

Przeszedłszy wszystkie stopnie hierarchji kościelnej, wszędzie zyskiwał miłość dla siebie i najwyższy szacunek dla swych enót chrześcijańskich, nie dziwi więc, że świątobliwemu patriarsze weneckiemu, kardynałowi Sarto, po śmierci Leona XIII-go, włożono na skronie papieską tjarę.

Jako Papież, Pius X powołał znów do życia Eucharystyczne kongresy, znakomicie wpływające na umocnienie ducha wśród licznych rzesz wiernych, to też już dziś zyskał sobie imię Papieża Eucharystycznego.

Mianowania dostojników kościelnych na stolicie biskupiej w Polsce za Piusa X-go, można rzec, zawsze były w myśl naszych interesów, więc Rzym nie chciał, na przykład, zatwierdzić niepożądanych kandydatów rządowych na arcybiskupstwo Gnieźnieńskie i stolica ta dotychczas jeszcze nie jest obsadzona, bowiem biskup Likowski tylko zastępczo pełni obowiązki administratora diecezji. Stosunkowo dość prędko przeszła kandydatura ks. prałata Kakowskiego na arcybiskupstwo warszawskie, jak bowiem dowiadujemy się, Watykan zgodził się już na mianowanie tego świątelnego kapłana, którego dotychczasowe zasługi są dostateczną rękojmią, że przyszłe rządy nowego metropolity przyniosą prawdziwą korzyść naszej osieroconej dziś archidiecezji.

Ks. Kakowski urodził się w r. 1862, w Dębinach, w pow. Przemyskim, nauki pobierał w Pułtusk i w Warszawie, gdzie też ukończył seminarjum duchowne, zaś w 1882 r. akademię duchowną rz. kat. w Petersburgu i w 1885 r. uniwersytet gregorjański w Rzymie z stopniem d-ra praw, następnie praktycznie oddał się studjom prawnym. W r. 1886 otrzymał święcenia kapłańskie a w 1887 r. mianowano młodego kapłana profesorem seminarjum rz. kat. w Warszawie. W r. 1897 mianowany zostaje asesorem kurji arcybiskupiej, a w r. 1898 re-

gensem warszawskiego seminarjum, na którym to stanowisku pozostaje przez lat 12, dalej —



Jego Świątobliwość Papież Pius X.

kanonikiem honorowym oraz rektorem kościoła św. Józefa Oblubieńca, w 1901—kanonikiem kapituły metrop. warsz. W ro-



Ks. prałat Aleksander Kakowski, przyszły arcybiskup metropolita archidiecezji warszawskiej.

ku 1910 w uznaniu zasług, powołano ks. regensa Kakowskiego na stanowisko rektora akademii rz. kat. w Petersburgu, którą to godność dotychczas piastuje. Przed półtora rokiem Ojciec Święty mianował go swym Prałatem Domowym. Ks. Kakowski jest również autorem kilku poważnych prac naukowych, z których przedewszystkiem należy wymienić dzieło „O powadze rytuału piotrkowskiego, ze stanowiska prawnohistorycznego“.

Prekonizacja w kościele św. Katarzyny w Petersburgu, jak

również ingres nowego dostojnika na arcybiskupstwo warszawskie nastąpi w lecie.

W ubiegłym tygodniu również zdecydowała się bardzo ważna sprawa pierwszorzędnej znaczenia, najbliższej nas obchodząca, która, niestety, nie przyniosła nam spodziewanych korzyści, przeciwnie, nic więcej — krom rozgoryczenia i zrozumiałego przecieć rozdrażnienia. Mowa tu, jak łatwo się domyśleć, o samorządzie miejskim dla Królestwa Polskiego, którego projekt tak gorąco popierany przez naszych posłów w Dumie i Radzie Państwa a w tej ostatniej w szczególności przez posła Szebekę, właściwie pogrzebany już został przez doprowadzenie do takich granic niemożliwości przez prawników z Bobrińskim, Stiszińskim i Hurką synem (wslawionym w swoim czasie z głośnego procesu

Liedwala) na czele, że już teraz posłowie nasi będą uważali za wskazane głosować przeciwko projektowi, gdyż lepiej nie mieć żadnego samorządu, niż tak kaleki i niezdolny do wszelkiego samorządowego produkcyjnego czynu. Już przed trzema z górą laty projekt ten wniesiony został do Dumy, gdzie dopiero po uchwaleniu sprawy Chełmskiej przystąpiono do rozważania go i... nietylko nie przyjęto projektu w redakcji rządowej, lecz ograniczono go jeszcze; ale i tu wykazali posłowie polscy wielką ustepliwość, forsując projekt dalej do Rady Państwa, to jednak co tam uczyniono z nim, przechodzi już wszelkie oczekiwania, przestana się więc nadal ludzi nasi posłowie i w przyszłości na illuzorycznych nadziejach nie będą chyba budować swoich zamierzeń i projektów.

Tak, snadź trudno już cokolwiek budować na naszym starym dobrym ładzie, gdzie i ład i skład stary a wszelki postęp, niby złodziej skradać się musi,



Mr. Bobrinski przyczynił się do ocalenia projektu samorządu.



Ignacy Szebeko,

czł. Rady państwa, jeden z głównych rzeczowników projektu samorządu.



Widok Kanberry, nowobudującej się stolicy Australji.

żeby go zaś przy robocie nie nakryli. Inaczej trochę się dzieje na nowych lądach, jak Ameryka, ba—nawet Australja, której kultura, choć ledwo że z powijków wyszła a już poszczyścić się może pełną dojrzałością. Budują więc w Australji składnie i ładnie — a wiecie co budują? Stolicę, nową stolicę wznoszą tam, gdzie dotychczas stała owiec się pasły a wicher tańcował wśród szczerego pola! Nazwa przyszłej stolicy — Kanberra. Kamień węgielny pod gmach Kapitolu nowej stolicy położono w tych właśnie czasach a ceremonji towarzyszyły wielkie uroczystości w całym kraju. Nie trzeba dodawać, że wszystko w nowym mieście urządzone będzie podług najnowszych wymagań, a wobec braku przypadkowości, może całość stworzona podług z góry nakreślonego planu, wyda nam się nieco sztywna, za to jednak na wygodzie mieszkańcom zbywać nie będzie. Gmachy publiczne mają być ostatnim wyrazem wspaniałości i doskonałości, dźwignięte z granitu, w który kraina ta obfituje z użyciem tylko żelazobetonu i ogniotrwałych materiałów. Nie zapomniano i o ogrodach, szerokich alejach, placach i t. d. Budowa miasta obliczona jest na lat 8, zaś o sumach — które pochłonie — lepiej już nie wspominać. Nie bójcie się jed-

zonych, Wilson, *siła idzie od ziemi*, więc i latawce powietrzne na ziemi szukać muszą oparcia, do ziemi dostosowywać swe urządzenia i z ziemi czerpać siłę (choćby benzynę) by wzniesić się w powietrzne szlaki. Dziś ludzie dalej jeszcze idą — do wody nawet dostosowują maszyny latające, które ni- by mowy zrywać się mogą

nak, Kanberra z nawiązką procent od kapitału zwróci — uśiłowania ludzkie, gdy mają szerokie nie obstawione rogatkami pole do działania, korzyść przynoszą i wszelki trud staje się wówczas produkcyjnym.

Uśiłowania ludzkie wyladowują się dziś nie tylko w kierunku budowy na *poziomie*, lecz w znacznej mierze budują swą przyszłość i w kierunku, że się tak wyrażę... „*pio-nowym*“ podboju powietrza lub bardziej poetycko — *górných sfer*. Lecz i tu, jak rzekł nowy prezydent Stanów Zjedno-

z powierzchni wód i na wody opa- dać. Ciekawe te eksperymenty odbywają się właśnie na międzynarodowym konkursie hydroaeroplanów w Monako a „lądowanie“ na wodzie i podrywanie się się z wody wypada świetnie. Ruchliwsze są te lekkie ptaki-aeroplany, niż balony-Zep- peliny niemieckie, obciążone wewnątrz maszynami—bodaj jak na jakim okręcie. Stanowczo też przyszłość pierwszych jest większa i olbrzymy germańskie nie oprą się zwrotom lekkiej galijskiej powietrznej flotyli.

Przezorni niemcy jednak zaczy- nają widać przekonywać się do aeroplanów, gdyż w ostatnich dniach znów wylądował „przy- padkowo“ na terytorjum fran- cuskiem niedaleko Lunéville, ale tym razem nie balon, lecz... dwupłatowiec z niemieckimi ofi- cerami. Niebezpieczne tylko jest takie sąsiedztwo ciekawych pil- otów, bo co do samej jazdy powietrznej, ta już dziś nasuwa coraz mniej niebezpieczeństw



Ciekawe zdjęcie fotogr. wnętrza balonu Zeppelina, dokonane we Francji po głośnym wylądowaniu w Lunéville po- wietrznego niemieckiego krzyżowca.



Flotylla hydroaeroplanów w porcie w Monako, przed konkursem.

„Miodowy miesiąc“ A. Benneta, wydany nakładem redakcji „ZŁOTEGO ROGU“ jest do nabycia w naszej administracji i w księgarniach.



Król Alfons hiszpański,
na którego wykonano zamach anarchistyczny.

wobec wielkich postępów, które aeronautyka w ostatnich czasach uczyniła.

Niebezpieczniejszymi stokroć niż w przestworzach, są przejażdżki po stałym nawet gruncie, monarchy hiszpańskiego, króla Alfonsa, na którego niedawno właśnie, gdy jechał konno, znów wykonano anarchistyczny zamach. Kula jednak chybiła—król wyszedł cało a napastnika aresztowano. Nie jest to pierwszy zamach, młody monarcha już kilka razy był narażony na kule i sztylety. Snadź długo żyć będzie, gdy w nieszczęściu takie ma szczęście. *Scriba.*

Miecz i dyplomacja.

Koniec wojny na Bałkanach. — Król Mikołaj. — Spory między związkowcami. — Reformy w Turcji. — Strejki w Belgji i na Śląsku.

Zamikły działa na Bałkanach. Nie przypieczętowano jeszcze wprawdzie traktatu pokojowego, ale poczyniono już zasadnicze kroki do zawarcia pokoju. Pod naciskiem konieczności, a głównie na żądanie mocarstw, zaprzestano akcji wojennej.

Bułgarzy ułożyli się z Turkami co do „zawieszenia broni“, Grecy ukończyli swe zadanie w myśl starej zasady: „wojna ustała dla braku walczących“ i stanęli u celu swych marzeń: odzyskali Tesalję, zdobyli Epir.

Najdłużej w pozieji wojennej trzymał się król czarnogórski. Już inni miecze swe schowali do pochew, on wciąż szturmował do twierdzy skodarskiej. Skodar zdobyli czarnogórcy z bohaterstwem lecz narazili się na zatarg z wielkimi mo-

carstwami, który, bodaj czy im przyniesie korzyści.

Ale niema złego, któreby — nie mogło być jeszcze gorszem — jak powiada trawestacja znane go przysłowia. Wojna drogo kosztowała Czarnogórze; niemniej drogo kosztowała i inne państwa bałkańskie. Wielkiem, lecz i kosztownem jest ich zwycięstwo. Świat podziwia to nieoczekiwane zbudzenie się potęgi i siły słowian południowych.

Niestety, wraz z siłą i potęgą, zbudziła się i wrodzona słowianom kłótność, wrodzony brak zgodności, spójni. Zawsze tak było: złączeni w chwilach wielkich niebezpieczeństw lub dla wielkich przedsięwzięć odnosili wiekopomne tryumfy. Ale chwile te nigdy nie były



Król Mikołaj czarnogórski
zdobył Skodar, przeciwstawiając się woli wielkich mocarstw.

podstawą dla zjednoczenia sił ku wspólnej pracy.

O ileż przezorniejsza okazuje się Turcja. Nie zdażyła odetchnąć z zapasów, które ją zmiażdżyły, a już myśli o reformach — szerokich, gruntownych, mających stać się podstawą odrodzenia państwa, od

dwustu lat chylącego się bezustannie ku upadkowi. Jedną reformą ma być powołanie szerokich warstw ludu do udziału w życiu publicznem.

O udział ten ubiegają się coraz bardziej wszystkie ludy. Im większy napotyka na swej drodze opór, tem silniejszy przypuszczają atak. Widownią takiego właśnie ataku jest obecnie Belgja. Obowiązująca tam ustawa wyborcza zapewnia wprawdzie ludności szeroki udział w ciałach prawodawczych; warstwy jednak robotnicze, stojące zresztą w Belgji na znacznie wyższym niż gdzieindziej poziomie kulturalnym, domagają się wprowadzenia ustawy, opartej na głosowaniu powszechnem. Wobec oporu ze strony partji zachowawczej, dzierżącej ster państwowy w swych rękach, robotnicy belgijscy zarządzili strejk generalny.

Bezkrwawa ta wojna strasznie się przedstawia w ramach cyfr, określających straty, jakie strejk pociąga za sobą. Wszystkie państwa bałkańskie, razem wzięte, nie wydawały w czasie wojny tyle, ile traci Belgja. Według przybliżonych obliczeń straty dochodzą do dziesięciu milionów franków dziennie. Kilka tygodni takiej straty, a przemysł belgijski stanie na krawędzi ruiny. I to przypuszczać także, iż strejk nie potrwa długo.

Innego rodzaju strejk — czysto ekonomiczny — urządzili górnicy na Śląsku pruskim, przeważnie polacy. Wyzyskiwani w najgorszy sposób, przez długi czas upominali się, aby im dano takie warunki pracy i płacy, jakie obowiązują w Westfalji. Gdy głosy ich nie osiągały skutku, zastrejkowali. Około 60,000 górników porzuciło pracę. Stały kopalnie i fabryki. Walka toczy się na całej linii. *(h. m.)*



Port w Antivari podczas blokady przez zjednoczoną flotę mocarstw.

KSIĄŻKI.

Leon Choromański. „Złota droga“. Nowele. Warszawa.—G. Cennerszwer i S-ka. Kraków—S. A. Krzyżanowski 1913 r.

Gdy Choromański napisał „Zuzannę“, ów kunsztowny zbiór antycznych legend, odrazu, uwierzone w jego dziwny, niespokojny talent. Natomiast ostatnia książka artysty „Złota droga“ przeszła wszelkie oczekiwania.

„Złota droga“, jest sznurkiem perełek cennej wartości. Rozmaitości polyskują szlachetne klejnoty. Matowe, nieraz umarłe, nieraz tęczy i światła pełne. Nowele Choromańskiego są szlifowane ręką pierwszorzędnego artysty, z całym pietyzmem i wielkim umiłowaniem tematu.

Dziwna to wogóle książka. Miljonobarwna, a jednak pozbawiona choćby najdrobniejszego dysonansu, najdrobniejszego fałszu kolorystycznego. Forma soczysta, go-

raça, wypukła. Historje ogólnoludzkie, rozwiązujące odwieczne problemy, i mimo to prawie nowe. Jest w nich coś z ballad, gdzie snują się postacie upudrowanych markiz i błaznów sentymentalnych. Jest w nich wielki urok zamierzchłości. Jest czysta, antyczna краса.

Niezwykły takt artystyczny, małowówność, powściągliwa gradacja wydarzeń, oto pierwszorządne zalety talentu Choromańskiego. Jego język jest połyskliwy i złoty. Jego tematy nie starzeją się i fosforują promiennie. Jego myśli mają królewską formę, są, jak kwiaty, upojne, jak krew, gorące. Dziwne, skupione myśli... Wylęgły się w czarnoksiężkich ogrodach fantazji.. Bogate lawą płomieni, grzeszne i smutne, myśli te łopocą skrzydła tęczą w światłach brylantowych. Tajemnicze, magiczne, ukochania dziwnego, przeczulonego artysty. Piękną okładkę do książki wykonał p. Tom. St. J. K.

Teatr letni. — „Ziółko“.

Wystawiona ostatnio w teatrze Letnim komedia Coolusa p. t. „Ziółko“ należy do mniej szczęśliwie wybranych sztuk tegorocznego repertuaru. Ani parzy, ani ziębi, je-no wlecze się przez trzy akty, niezgrabnie utykając na mało urozmaiconych i bezbarwnych dialogach i sytuacjach. Nikogo i niczego w niej nie urażono; blado zarysowane postacie przesunęły się po scenie, wypowiedziawszy kilkanaście pustych, sentymentalnych frazesów. Artyści dokładali wszelkich starań, aby ożywić martwość tej scenicznej lichoty. P. Lubiec-Sarnowska przeistoczyła się w miłe, choć przekorne „ziółko“, p. Gasiński dał tęgą w charakterze postać Chantelouva a młody artysta naszej farsy p. Wiktor Kamiński rolę młodego adwokata pojął z inteligencją, znamionującą duży talent.

j. a.



PREMIUM ARTYSTYCZNE „ZŁOTEGO ROGU“.

W górze: H. Piątkowskiego „Główka“ i M. Puffkego „Wioska wśród gór“.
Niżej: S. Filipkiewicza „Studjum“ i Hanćurinkowicza „Jesienne południe“.

Jak już wzmiankowaliśmy w poprzednim numerze, powyższe 4 obrazy przypadły w udziale, jako premjum za marzec r. b. czterem szczęśliwym wybrancom losu z pomiędzy naszych prenumeratorów a mianowicie: 1) H. Piątkowskiego „Główka“ p. Pawłowi Rzechowskiemu z Książa Wielkiego w gub. Kijowskiej; 2) St. Filipkiewicza „Studjum“ — p. Mirosławowi Wróblewskiemu z Worczyna, poczta Włodzimierz w g. Wołyńskiej; 3) Hanćurinkowicza „Jesienne południe“ — p. Wł. Drzewieckiemu z Koła w g. Kaliskiej; 4) M. Puffkego „Wioska wśród gór“ — p. Wincentemu Grysztarowi z Krzemieńca w gub. Wołyńskiej. Spis obrazów, przeznaczonych na premjum za kwiecień r. b., podamy w następnym numerze.

ZDROJOWISKO NADNIEMEŃSKIE.

W północno-zachodnim kącie gub. grodzieńskiej, granicząc z gub. wileńską i suwalską, leży znane ze swych leczniczych źródeł miasteczko Druskieniki, niegdyś starożytna osada, zwana w kronikach krzyżackich *Soltzeniken*. Siedmnaście wiorst jazdy samochodem po dobrej szosie oddziela Druskieniki od stacji kolejowej tejże nazwy (dawniej Porzecze) dokąd z Warszawy koleją Północno-Zachodnią (Petersburską) jazda trwa 8 godzin.

Nie sięgając w daleką przeszłość, zaznaczyć należy, że Druskieniki, jako miejsce kąpielowe, miały już swoją złotą erę w pierwszej połowie ubiegłego wieku. W owym czasie zjeżdżała tam na lato doborowa publiczność, obywatele, literaci i t. p. Bawili tu: Eustachy i Konstanty Tyszkiewiczowie, Kraszewski, dziejopis Litwy Narbutt, Czeczot, Syrokomla a w ostatnich latach Orzeszkowa. Bawiono się ochoczo, jak o tem świadczą kilka powieści, w których grają rolę Druskieniki, jako miejsce kojarzenia się stadeł małżeńskich.

Przez lat kilka (1844—1846) miały też Druskieniki swój organ p. t. „Ondyna druskienickich wód“, wydawany przez dr. Ksawerego Woefganga. Po roku 1860 nastąpił dla Druskienik okres upadku, który trwał dość długo i dopiero w ostatnich latach odzyskują Druskieniki świet-



Druskienicki budynek kąpielowy.



Kąpiele piaskowe w Druskienikach.

ną tradycję i pierwszorzędne stanowisko wśród zdrojowisk krajowych. Słusznie im się to należy, zarówno ze względu na własności źródeł mineralnych, jak i na naturalne warunki zdrowotne. Piękne położenie, o 15 m. nad poziomem Niemna, nad brzegiem tej uroczej rzeki, w otoczeniu lasów sosnowych, suchy grunt przepuszczalny, stwarzają doskonałe warunki sanitarne, to też z każdym rokiem

zjeżdża do Druskienik coraz więcej osób, szukających tu zdrowia lub chwilowego wypoczynku dla skołatanych życiem miastkiem nerwów. Wody druskienickie, zaliczone do rzędu solanek, przypominające składem swym Kissingen-Rakoczy, Kreuznach i Soden, służą do użytku wewnętrznego oraz do kąpieli; leczą skutecznie skrufuły, chorobę angielską, reumatyzm, początkowe objawy podagry oraz zaburzenia w przewodach żółdkowo-kiszczkowych. Ważnym środkiem leczniczym są też zimne kąpiele w Niemnie i Rotniczance, przepływającej przez głęboki zacieniony parów. Obok tych naturalnych kuracji, Druskieniki posiadają wszelkie nowoczesne urządzenia do kąpieli kwasowowęglowych, elektrycznych, gimnastyki leczniczej i t. p. Lekarzem zaś kąpielowym jest od lat kilku dr. Stanisław Konwerski z Warszawy, któremu zamiłowanie zawodu i dbałość o chorych przyniosły powszechne zaufanie.

Rozwój Druskienik postępuje w szybkim tempie. Z każdym rokiem przybywają nowe pensjonaty, wille, jadłodajnie, tak,

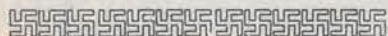


Brzegi jeziora „Druskonie“.

że pomimo licznego napływu gości (w roku z. było 16 tysięcy) niema kłopotu o dach nad głową i wyżywienie się. Sprężysta administracja głównie w osobie dyrektora p. Michała Malinowskiego, który wbrew prawom fizycznym, potrafi znajdować się jednocześnie w kilku miejscach, ostatecznie utrzymuje ład wśród wielkiej rzeszy przybyłych i stara się łagodzić drażliwość i nerwowe wybuchy chorych.

Spacerów wśród pięknej przyrody, wycieczki statkiem po Niemnie stanowią przyjemne urozmaicenia pobytu w Druskienikach. Pożądający rozrywek miejskich, mają cotgodzinowe wieczory taneczne, od czasu do czasu koncerty, wśród których gwoździem sezonu jest koncert Barcewicza. W roku bieżącym, jak słyszeliśmy, gościć też będzie teatr polski, który otrzymał od gubernatora grodzieńskiego po długich staraniach pozwolenie na szereg przedstawień.

Ant. Or.



BIBLIOGRAFJA.

Teresa lubińska. „Jarzmo miłosne”, powieść. Str. 388. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Gebethner i Wolff. Katalog beletrystyki Polskiej. Dzieła zbiorowe, powieści, poezje.

Odpowiedzi Redakcji.

P. S. R. W nadesłanym wierszu treść w zbyt ubogą przyoblekła się formę, tu i owdzie widać jednak przebytą zdolność. Nie wydrukujemy.

P. S. R. Grob. w Lublinie. Łatwość pisania wierszy, jest u Sz. P w stosunku odwrotnym do ich wartości literackiej. Wszystko w koszu.

P. Eugenjuszowi G. List pański, napisany z pominięciem zasadniczych prawideł stylistyki, usposobił nas bardzo pesymistycznie względem proponowanych utworów. Lepiej — nie przysyłać.

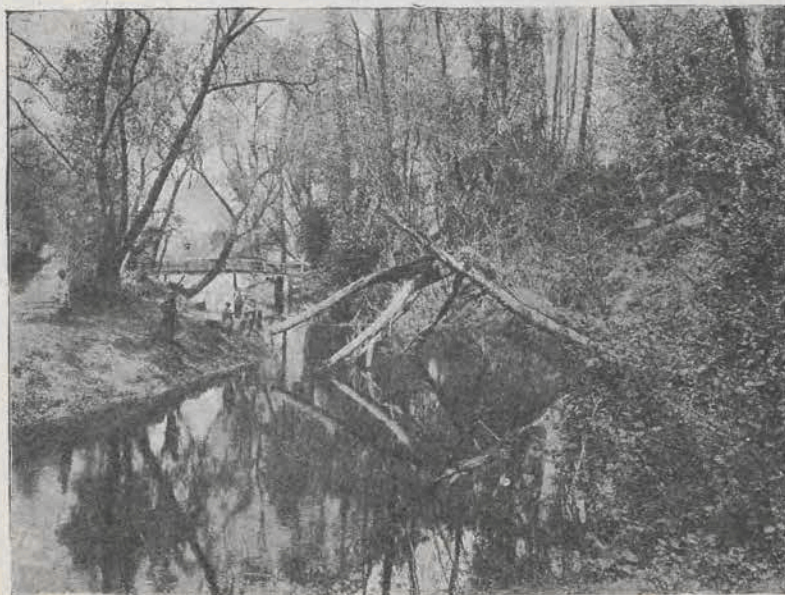
T. S. 13 w Rijowie. Księgarnia opłaca prenumeratę tylko za I-y kwartał, t. j. do 1 kwietnia, wobec czego Sz. Pan niema praw do premjum. O ile wniesie Sz. Pan zaraz resztę należności, bezpośrednio do administracji naszego pisma, w następnych losowaniach już będzie Sz. Pan uczestniczył.



Jezioro „Druskonie”.



Niemen pod Druskienikami.



Fragment z nad Rotniczanki.



Femina

4) CZYNNIKI SZCZĘŚCIA W WIEKU DZIECIĘCYM.

Na gruncie tego nieświadomego i tajemniczego popędu fizjologicznego wyrastają cudne kwiaty *pierwszej miłości*, która jest potężnym czynnikiem szczęścia w młodości. Uczucie to powstaje w niezwykłych warunkach i posiada pewne właściwości, które je cechują oraz nadzwyczajna intensywność, jaka nie powtarza się już w innej epoce życia. Stąd też w doświadczeniu codziennem wytworzyło się mniemanie, iż uczucie pierwszej miłości nie powtórzy się już nigdy w życiu.

Jednocześnie z uczuciem miłości, a często zastępując czasowo to ostatnie, w epoce młodości zjawia się uczucie przyjaźni. Jest ono czynnikiem szczęścia, choć nie tak intensywnym, jak pierwszy.

Sympatja koleżeńska, czyli przyjaźń, to tylko surogat miłości dla istoty innej płci. Analizując uczucie przyjaźni, dochodzimy do wniosku, że należy ono do dosyć złożonych i subtelnych zjawisk psychicznych. Wyrastając na gruncie tęsknoty fizjologicznej, właściwej temu wiekowi, posiada pewne charakterystyczne cechy, które czynią je podobnym do uczucia miłości. Przyjaźń w znacznym stopniu przypomina miłość platoniczną. Z cech, zbliżających ją do miłości najcharakterystyczniejsza jest zazdrość. Osoby inteligentne z obawą myślą o tem, że przyjaciel większą sympatją darzy kogoś innego. Zasadniczą podstawą przyjaźni jest ufność, dająca to słodkie przeświadczenie, że przyjaciel nie zawiedzie nas nigdy.

Przyjaźń przeto, uważana za czynnik szczęścia, zajmować winna pierwszorzędną stanowisko w życiu młodych ludzi, będą oni mieli wówczas przeświadczenie, iż nie są samotni i że łatwiej dadzą sobie radę z trudnymi warunkami życia.

Przyjaźń, zjawisko tak zwykle w ewolucji powyższego okresu życia, nie powraca już nigdy z taką siłą, jaka cechowała je w młodości.

Wspomnieć należy o jednym jeszcze czynniku szczęścia w młodości. Jest nim tworzenie ideałów osobistych i społecznych, połączone z silną wiarą w możliwość spełnienia. Nigdy

fantazja twórcza w tym kierunku nie przybiera takich rozmiarów i nie sprawia tylu rozkosznych wzruszeń, jak w tym okresie życia. Młodzi ludzie obojej płci a zwłaszcza młodzieńcy, biorą sobie za cel zmianę warunków życia społecznego i osobistego. Większość nie poprzestaje na stanowisku teoretycznym, lecz wypracowane zasady stara się wcielić w życie osobiste i uczynić je normą postępowania. Z biegiem czasu jednak smutne doświadczenie wykazuje, że i te szczytne, lecz niedościgłe i nieziszczalne ideały i dążenia młodości nie mogą zapewnić szczęścia. Z tego, co mówiłam wyżej, łatwo dojść do wniosku, że szczęście możliwe jest jedynie w wieku dziecięcym.

Niestety, współczesna pedagogja, lekceważąca szczęście wieku dziecięcego, nie posiada sposobów do zapewnienia szczęścia w następnych okresach życia. Z powyższego wynika, iż nowa pedagogja winna być nauką o czynnikach szczęścia dziecięcego. Jak konieczna jest taka reforma w pedagogji, świadczą o tem często spotykane typy nieszcęśliwych dzieci, pominiętych nawet dzieci przeziąte pracą lub cierpiące nędzę.

Wszystko, o czem mówiliśmy wyżej, doprowadza do wniosku, że w nowej pedagogji uwzględnić trzeba kilka tez, powiązanych wspólną ideą w jedną całość. Przedewszystkiem położyć należy nacisk na ten punkt, że dziecko nie stanowi „przedmiotu wychowania“, lecz że jest taką samą osobą, jak i wychowawca, burzenie przeto jego obecnego, realnego szczęścia jest bezprawiem, zarówno jak i burzenie szczęścia ludzi dorosłych. Zwrócić należy następnie uwagę na te warunki fizjologiczne i psychiczne, które przyczyniają się do stworzenia szczęścia dziecięcego.

Wiadomo, że czynniki fizyczne zależne są od czynności fizjologicznych, jakie zachodzą w naszym organizmie. Zatem pedagog bacznie winien zwrócić uwagę, by czynności te odbywały się prawidłowo i żeby wychowanie umysłowe nie było zdobywane kosztem fizycznego.

W tem ostatniem ogromnie ważną jest rzeczą spotęgowanie działalności serca i płuc, ku czemu skutecznie posłużą zabawy na świeżem powietrzu. Zabawy takie zdobyły dotychczas prawo obywatelstwa tylko w Anglii, u nas zaś i w innych krajach Europy zastępują je gimnastyką. Drugim środkiem oddziaływania pedagogicznego

na czynniki fizjologiczne będą łatwe prace fizyczne na świeżem powietrzu i wycieczki. Te ostatnie przynoszą podwójną korzyść: sprawiając zadowolenie pod względem fizycznym, usposabiają dzieci do pracy. Fakt powyższy stwierdzony został przez pedagogów angielskich.
(d. n.) E. Żypowska.

„Jaką młoda dziewczyna być powinna“¹⁾.

Niby zielona, wiosenna ruń nadziei, wyrosła książka Nixona Watermana p. t. „Jaką młoda dziewczyna być powinna“—na gruncie wiary w posłannictwo kobiety i w niem znalazła punkt zadzierzgnięcia swej pogodnej filozofji, tak niepodzielnie zespolonej z warunkami życia, własnym światłem promieniejącej i związanej z rzeczywistością, tysiącem nierozzerwalnych wspólnot. Nagromadzone w niej zostały skarby aforystycznej mądrości wszystkich czasów i ludów i są one jak białe kamienie, wytykające linię w postępie, w ciągłą ewolucję kształtujących się pojęć. Jest to ta sama droga, po której się zdąża do człowieczeństwa; ukazało na nią głębokie przeświadczenie Watermana, że tylko ideał ogólnoludzki winien być celem kobiety, że tej samej powinna podlegać tresurze ducha, co mędrzec doskonalący wolę swą w harmonji rozumu z uczuciem i że niczem innym kobieta nie jest—jak tylko *człowiekiem*. Niema różnicy między bohaterem i bohaterką, bowiem *bohaterstwo* jest jedno.

Przewiduje on odrazu, jakie pytanie zamiera lekliwie na ustach dziewczyny, u progu życia: „co z sobą począć? czem się zająć i jak życia pustkę wypełnić?”

Odpowiedź jest jedna, zawsze jednakowa a jednak wiecznie nowa: „Pracuj“—powiada Waterman—wnikliwie i przekonująco—stara, zdawkowa rada—w ustach jego przestaje być bezdusznym frazesem, i nabiera wagi i znaczenia, niezatartemi zgłoskami utrwalając się w duszy. Do szczytu prawdy objawionej wyniosła ją lotność ogarnięcia najszerszych horyzontów myśli i ojcowska prawie troskliwość i chęć uszczęśliwienia, za pomocą kryształowo-czystych przesłanek mądrości, ożywionej gorącym pragnieniem uczynienia dobra dla dobra. Nakazując pracę, jako czynnik zbawienny i szlachetny, usiłuje przez nią zniweczyć *nudę*, ten, według Stendhala, wewnętrzny substrat większości współczesnych kobiet, nie posiadających specjalnych talentów i umiowań, i odsuniętych wskutek tego, od widomego przejawu poczynionych wysiłków, co zazwyczaj powoduje wstręt do życia. „Być czynnym—mówi—to nie znaczy koniecznie pracować na polu w fabryce, lub biurze. Tysiące mamy sposobów służenia światu. Potrzeba tylko poświęcać pewną część naszego

czasu i energii na usługi dla naszych braci, sióstr, rodziców, nauczycieli, przyjaciół—całego świata. Wdzięczni powinniśmy być za każdą sposobność służenia innym i uważać to za przyjemność, a nie przymus. A przedewszystkiem musimy znajdować rozkosz w pracy, która nam przypadła w udziale.“

W tych kilkudziesięciu słowach tkwi już kościec jego wzniosłej, słodkiej nauki, wspartej przeważnie na zasadach chrześcijańskich i moralności antycznej. Właściwie jest mistrzem sztuki życia; przemawiając do zwykłych a licznych, w zajęciach codziennych, w najzwyklejszych czynnościach życiowych odkrywa bijące źródła treści; rozdrabnia dzień na godziny, a godziny na chwile i nakazuje kształcić umiejętność ich przeżywania.

„Czytając tę książkę postanów sobie, jak uczyniła Emery Belle, wychodząc do pracy—zysłać tylko słońca promienie na życie tych, z którymi się spotkasz“.

Lecz jakże to urzeczywistnić? Jakież wypełnienie ma nakaz, aby się nie stał jeno cczą formułką moralności.

I oto tutaj, niby złoty odbłask myśli wielkiego Emersona, rozbrzmiewa symfonia optymizmu—tego ufego patrzenia w przyszłość, które tak silnie znamionuje psychikę amerykańską, jasnymi niemi przetykając twórczość Langvellov'a, słoneczne hymny najradośniejszego z radosnych—poety Whitmana i całą tę Amerykę inną nieco, zapatrzoną w poruszenia własnej jaźni przy potężnym akompaniamencie życia toczącego naprzód fale zdobywczej energii człowieka. Ową niezwykłą, a tak przedziwnie dyskretną książkę, niech przeczytają te polskie dziewczęta, którym całe życie wydaje się bezbarwną pustynią nudy. I powie im ona, cicho, na ucho, kilka czarodziejskich prawd. I uśmiechną się może z uczuciem ulgi, gdy uwierzą w możliwość spełnienia tych, może istotnie, natchnionych słów:

„Człowiek jest w znacznej części twórcą swego losu—a co ważniejsza, wyrzeźbia swoje „ja.“
J. A.

¹⁾ Nixon Waterman. „Jaką młoda dziewczyna być powinna?“ Przetłóżyła Emilja Węstawka. Warszawa.—Nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków.—G. Gebethner i Sp.

MATKA I CÓRKA.

Należy zacząć od liczb. Panienka mając lat 18 wychodzi za mąż i po roku, to jest mając lat 19, zostaje matką córeczki. Mija lat 16 i ta sama pani, jest matką dorosłej córki. Ma lat 35, czyli jest jeszcze zupełnie młoda, tą piękną *drugą* młodością z całą pełnią życia i pragnień i z całym do nich prawem, z wyszkolonym, wysubtylizowanym samopoczuciem i samopoznaniem. Wdzięki jej uległy tylko przeistoczeniu. Zaledwie rozwiniętego pączka o ładnym, lecz jeszcze niewyraźnym i jakby wątlwym rysunku, powstał kwiat uroczy, rozwinął się estetycznie i nie przestał pociągać oczów i wzbudzać zachwyty.

Trzydziestopięcioletnia matka dorosłej córki, jest istotnie śliczną kobietą i za taką powszechnie uznana. Mąż ją kocha niezmiennie i jest dumny z jej urody, przyjaciółki jej zazdroszczą, całe męskie otoczenie ulega urokowi jej spojrzenia i uśmiechu. Posiada kształty zupełnie proporcjonalne, zręczność i lekkość ruchów, ma śliczne zęby i włosy, cerę idealną — oczy pełne blasków i życia, umie się patrzeć i uśmiechać — jednym słowem, znajduje się w stadjum apoteozy... *drugiej* młodości...

I zdawać by się mogło, że te wszystkie szczęśliwe warunki trwać będą jeszcze długo, że trudno przewidzieć ich kresu, że nikt nie sięgnie po tę palmę zwycięstwa, która dotąd była udziałem 35-letniej kobiety — matki. Ale oto — niebezpieczeństwo *przegranej*, zrzeczenie się władzy niepodzielnej — zrodzone z własnego jej łona, zaznacza się coraz wyraźniej dojrze-
wa z dniem każdym... Złote blaski jutrzienki ozlaczają coraz promienniej postać jej dziecka, owej dziewczeczki, którą otacza niezrównana z niczym aureola i czar, lat szesnastu. Ów — do wczoraj jeszcze podłotek — nikła pensjonareczka w krótkiej ciemnej sukieneczce i czarnym fartuszkuzku, zapatrzona w kajety i książki, znana tylko najbliższymi a ustraniana przy większych

zebraniach, wysuwa się powoli z ukrycia, torując sobie drogę coraz to szerszą, coraz to świetniejszą. Impuls młodego życia, z niezem niepowstrzymanym rozpędem, dopomina się o swoje prawa, zyskuje należne sobie miejsce. Młodziuchne skrzydła motyle pragną lotu, rwą się do życia, do słońca. Dzień każdy, każda nieledwie godzina,



Matka i córka.

przysparza dziewczeczce uroku, rozwija młodociane wdzięki, zdoła cudną głowę, udoskonala całości kształt postaci, jeszcze maluczko — a Venus stanie u szczytu piękności...

Wtedy to, zaczynają się dla matki, chwile wielkiego życiowego przełomu, jest to bez kwestji *początek końca* jej panowania, jej fizycznej nad swem otoczeniem władzy — powoli abdykuje, schodzi nieubłaganie na plan drugi, gdzie ją czeka szacunek — uznanie — poważanie i różne tym podobne sympatyczne i potrzebne uczucia, ale z którego wykluczone są wszelkie osobiste egoistyczne zadowolenia miłości własnej, próżności i t. p. W blasku młodości i piękności córki, blednie i ginie do niedawna jeszcze tak promienna piękność matki. Są to odwieczne prawa

natury i jako takie zmienione być nie mogą.

Walczyć z tą nieubłaganą logiką czasu, jak to czyni wiele matek — jest: „To samo właśnie co liczyć na kompasie — kiedy słońce zgaśnie“ jak to powiedział jeden z naszych myślicieli... W walce tej, bez możliwości wygranej, targają się nerwy, tracą się godność, do serca i myśli przenika jad zniechęcenia — a nieraz skrytej zazdrości — zawiści — strasznej, potwornej, bo skierowanej przeciw własnemu dziecku.

Wszystko w życiu *złe zrównoważonej*, młodej jeszcze matki dorosłej córki, składa się na zaostrenie konfliktu zrodzonego w tajnikach duszy, tkwiącego w głębinach serca, a tak bardzo ukrytego, że przyznanie się do tych życiowych zgrzytów nawet przed sobą samą jest już wstydem i upokorzeniem. Każde wyjście z dorosłą córką, każda z nią bytność wśród ludzi — to ciąg dotkliwych ciosów zadawanych matce. Ów szmer podziwu, owe spojrzenia pełne zachwyty, do których szeregiem lat przywykła, które były jej dumą i radością, są już teraz udziałem cudnego dziewczęcia — któremu matka tylko towarzyszy.

Ranę najboleśniejszą zadaje jej jak zwykle, najserdeczniejsza przyjaciółka. Z pół słodką miną i w lekko ironicznym tonie, opowiada matce, historię — oczywiście czyjaś tam — jakiejś dalekiej znajomej, która okrywa się śmiesznością, chce rywalizować ze swą dorosłą córką — nie może pogodzić się [z tem, że jej młodość już przeszła, że czas zejść na drugi plan, bo pierwszy należy się wiośnie, wcielonej w jej własne dziecko no i t. d. i t. d. Matka słucha — cierpi — i rozumie...]

Powoli i dom zmienia swój dotychczasowy wygląd. Zmniejsza się koło starszych przyjaciół, ustępując miejsca młodemu otoczeniu córki, która oczywiście przekłada towarzysztwo rówieśniczek, za którymi idą ich bracia, koledzy tych braci i cały łańcuch młodzieńczy —

drgający życiem, wesołością i szaloną werwą. Oddają się za wzięcie wszystkim sportom, tańczę choćby co noc, do rana. Utrudzenie lub jakaś potrzeba wytchnienia, jest im nieznaną, młodość przypina im skrzydła do ramion, unosi zawrotnym pędem w niezmiernie przestronie, bez względu na tych pozostawionych daleko po za sobą, którzy już zużyli życiową energję, i coraz większego potrzebują odpoczynku...

Matka, patrząc na te objawy bujnie rozkwitłego życia, na ten potężny prąd młodości którego ani zatrzymać ani opanować nie jest w mocy — zaczyna powoli oswajać się z nowowytworzoną sytuacją. Miłość macierzyńska, świecąca szeregiem lat w jej sercu jasnym promieniem, chwilowo tylko przyémionym wskutek przeżywanego kryzysu, odzyskuje całą swą władzę. Nikną chmury, rozwiewają się niesnaski, ustala się równowaga, przychodzi rezygnacja, czyli złożenie broni — matka abdykuje na rzecz młodej władczyni, staje się jej serdecznym towarzyszem, czułym przyjacielem i najlepszym doradcą. Tę błogą chwilę utrwala nasza rycina. Na miłym a jeszcze bardzo ładnym obliczu matki widnieje już tylko bezgraniczna czułość dla tulącego się do jej łona pięknego dziewczęcia, będącego wskrzeszoną jej młodością — częścią jej samej... jej córką!..

Obok tylko co opisanych matek, dorosłych córek, znajdują się i takie bardzo uprzywilejowane i szczęśliwe, które nigdy nie przechodziły podobnych konfliktów i przełomów, a były jednak i piękne i młode. Są to wyjątkowo szlachetne natury, poparte dużym rozumem i znamiennym taktem o filozoficznym podkładzie, posiadają nieoceniony dar, sztukę, talent starzenia się w samą porę, bez utracenia wytworności, elegancji i wdzięku, usuwają się w cień ubóstwianych postaci swych córek, które również posiadać w tych razach muszą niepospolite przymioty serca, duszy i umysłu...

Marcèle.

Akt I. *P. Przybyłko-Potocka*. Tualeta ślubna młodej wdowy. Ceremonja odbywa się rano w kole rodzinnem. Kostjum z materiału zwanego „Double satin“, koloru srebrzysto-kremowego. Spódnica i stanik tworzą całość, przybraną piękaemi układanemi inkrustowanemi koronkami, mały dekolt, rękawy pół długie. Do tego krótki żakiet z baskiną



Akt I. Tuelaeta ślubna młodej wdowy. (Fotogr. Malarski i Tavrell).

z tegoż atlasu, przybierany przepięknymi szmuklerskimi okrągłymi guzami i trochę odpowiedniego *ton sur ton* galonu. Wielki *genre* w całej tualecie, bardzo na ogół skromnej, pojedynczej a prześlicznej w szczególach. Krój spódnicy modern style modeluje idealny rysunek postaci artystki, noszącej tę tualetę z wytwornym wdziękiem i elegancją, pończoszki jedwabne cieliste, buciki białe, irchowe. Przy boku różowa olbrzymia róża.

P. Szubicka. Tuelaeta *de ceremonie*, matki pana młodego, trochę ekscentrycznej literatki a zatem oryginalna. Na spodzie z atlasu w kolorze morelowym, duży *voilage* z gazy koloru *taub* (kreci) pretensjonalnie ale estetycznie upięty — na wierzchu

elegancki płaszcz automobilowy jedwabny, dalia—przybrany czarną koronką, duży kapeluszczyk cały pokryty szalem gazowym popielatym, automobilowym.

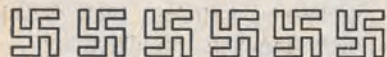
Akt II. *P. Przybyłko-Potocka*. Strojna tuelaeta obiadowa, arcydzieło gustu i elegancji. Suknia a raczej umiejętnie spowicie draperyjne, z satin Duchesse koloru turkusowego, jeden bok i dół przybrany gazą seledynową, przy ramionach i talji również wspaniała w rysunku draperja z powyższego atlasu i gazy. Talja okolona zachodzącym wysoko z przodu przybraniem z szerokiej wstążki *chiné*, w różnokolorowe kwiaty, na tem medaljony z koronki złotej. Przybranie to tworzy z tyłu wązki pasek, w rodzaju spiczastego bawetu, bardzo korzystnego dla rysunku talji. Pełny dekolt, odsłaniający śliczny biust artystki, krótkie rękawki. Jako *sortie*, wspaniała *écharpe* gazowa, malowana w desenie indyjskie, z pyszną, szeroką, w tymże stylu frendzlą. Pończoszki cieliste, pantofelki niebieskie atlasowe, na wybrylantowanych obcasach. Wielki szyk w tualecie i osobie.

P. Szubicka. Strojna tuelaeta obiadowa. Dół sukni z atlasu maron, na nim długie *vêtement* z adamaszku w tymże kolorze, w białe piękne kwiaty, przybranie z białych koronek. Całość bardzo elegancka — i bardzo ładnie noszona. Śliczne pantofelki z maron adamaszku.

Akt III. *P. Przybyłko-Potocka*. Wytworny tak zw. *tailleur habillié*, czyli strojny kostjum krawiecki. Na białym *double satin* spodzie, rodzaj tiuniki łączonej ze stanikiem z atlasu granatowego — całość otwarta lekko na boku, tworzy śliczny strój domowo-spacerowy. Kapeluszczyk toczek, lekko wydłużony, przybrany pękiem różowych róż. Prześliczna tuelaeta—prześlicznie noszona.

P. Szubicka. Letni poranny negliż biały, muslinowy w malowane różnokolorowe kwiaty, przybierany koronkami i wstążkami.

Marcèle.





REGULACJA MIASTA.

Przyznać trzeba, że Łódź jest miastem bardzo osobliwym pod wielu względami, że się tu dzieją rzeczy, jakich nigdzie znaleźć nie można a nawet są takie zjawiska, które można byłoby wprost do bajecznych zaliczyć, gdyby nie to, że stwierdza je i ku wiecznej pamięci w protokołach utrwała policja. Wszyscy np. wiedzą, że grzyby rosą po deszczu, że w tem miejscu, w którym wczoraj wyzbieraliśmy je, możemy nazajutrz znowu zbierać, gdyż przez noc wyrósł nowe. Ale takiego zjawiska, żeby tam, gdzie wczoraj był pusty plac, w ciągu nocy wyrosła chałupa, tego oprócz krańców osobliwej Łodzi, w żadnym innym miejscu, w kraju i zagranicą zauważyć nie można. Domy takie na pustych placach, zaułkach, zakamarkach noc w noc wyrastają a policja ma z nimi kłopot nielada. Przychodzi opieczętować taki grzyb niezwykły, którego wczoraj jeszcze nie było i oto ze zdumieniem spostrzega, że ten dom, jakkolwiek jeszcze bez okien, drzwi i dachu, już posiada lokatorów, nietylko zdrowych, ale nawet chorych obłożnie, których z łóżka wyrzucić nie można. Trzeba wzywać lekarza i ten dopiero, stwierdziwszy chorobę udaną, daje podstawę policji do wysiedlenia lokatorów z domu-grzyba i opieczętowania go.

Takie wyrastanie domów na krańcach miasta jest zjawiskiem ..conocnem, a właścicielami tych domów-grzybów są najczęściej ludzie ze sfer rzemieślniczych lub robotniczych. Zwykle kupują oni liche domki na wsi, przenoszą je i ustawiają na krańcach, przyłączonych już do miasta. Z jednej strony jest to objaw pożądaný, że się owe krańce zabudowują i że do posiadania takich domków przychodzą ludzie ze sfer rzemieślniczych i robotniczych; ale z drugiej znowu -- jest rzeczą wielce niepożądaną, że takie zabudowywanie się chaotyczne, bezładne odbywa się dlatego, iż dotąd zarząd miasta nie zdobył się na plan regulacyjny. To też nietylko wyrastają po nocach domy-grzyby, ale powstają kamienice, fabryki i wszelkie inne budowle; powstają całe ulice i dzielnice, z pogwałceniem warunków higieny, bezpieczeństwa, rozwoju i potrzeb miasta na przyszłość.

O regulacyjny plan miasta kołatano i upominano się już niejednokrotnie, ale, niestety, zawsze bezskutecznie. W ostatnich czasach jeden z inżynierów miejskich opracował w tej sprawie memoriał wraz z projektem konkursu na plan regulacyjny miasta i złożył tę swoją pracę prezydentowi miasta. Projektodawca cał-

kiem słusznie twierdzi, że do posiadania takiego planu, możliwie najprędzej, powinien dążyć magistrat. W końcu roku ubiegłego geometra p. Starzyński miał polecone przez magistrat opracowanie schematu planu sytuacyjnego przyłączonych do miasta dzielnic krańcowych. W dalszym ciągu na magistrat spada ważne i odpowiedzialne zadanie uplanowania nowych dzielnic, czyli t. zw. „kwartałów“. Plan ten, a raczej projekt przyszłego miasta powinien ułatwić, według projektodawcy, szereg następujących zadań:

a) Uregulować poszczególne dzielnice przyszłego miasta w sposób następujący: 1) Terytorjum domów mieszkalnych dochodowych. 2) Terytorjum fabryczne (pożądane jest wskazać w pobliżu miejsca dla towarowych stacji kolejowych). 3) Dzielnica magazynów i składów hurtowych. 4) Dzielnica handlowa i rzemieślnicza. 5) Dzielnica tanich mieszkań na przedmieściach, w pobliżu fabryk. 6) Terytorjum domów osobnych, willi, pałacyków, zdala od dymu i zgiełku fabrycznego. Na terytorjach własnych lub nabytych, miasto może dokonywać parcelacji, sprzedawać działki ziemi, z warunkiem niedopuszczalności zbyt wielkiego rozdrabniania.

b) Przeznaczyć miejsca na plantacje i ogrody miejskie, izolować, ile można, dzielnice mieszkalne od przemysłowych i handlowych.

c) Przeznaczyć odpowiednią ilość placów dla następujących gmachów i budynków: świątyni, instytucji państwowych, municypalnych, szkół, szpitali, urzędów wodociągowych, dworca centralnego, urzędów policyjnych, straży ogniowych, zajazdów, hotelów, hal targowych, koszar, muzeów, teatrów, cyrków i t. d.

d) Wziąć pod uwagę potrzebę placów dla stacji kolei obwodowych, dla ementarów, jarmarków, wystaw, dla wszelkiego rodzaju sportów i t. d.

e) Mieć na względzie rozszerzenie kolei dojazdowych i elektrycznych wzorem Europy oraz potrzebę mieszkań w okolicach zamiejskich wzdłuż rozchodzących się w promieniach kolei podjazdowych.

f) Uregulować istniejące części miasta i niewłaściwie przeprowadzone ulice; podzielić je na dwa typy: ulice, jako długie arterje komunikacyjne i — ulice czysto mieszkalne. Pierwsze powinny być proste i szerokie; dla drugich prostoliniowość jest warunkiem podrzędnym.

Zachodzi teraz pytanie, na kogo spada obowiązek szczegółowego i konkretnego opracowania planu tych zadań. Ze względu na nadzwyczajne skomplikowanie tej roboty, na zbyt różnorodne potrzeby, jak: ekonomiczne, zdrowotne, administracyjne, techniczne, estetyczne i t. d.,

posiadające niezmiernie ważne znaczenie dla miasta, projektodawca uważa za niezbędne ogłoszenie konkursu publicznego. W tym celu konieczny jest kredyt w wysokości 10,000 rb., z czego należy przeznaczyć na pierwszą nagrodę 3000 rb., na drugą 2000, na trzecią 1000 rb., na zakupienie projektów nie nagrodzonych 1000, na przygotowanie roboty do konkursu i na ostateczne wykończeniu projektu 3000 rb.

Należy przytem wziąć pod uwagę następujący stan rzeczy: Łódź, jej krańce i okolice budują rocznie około 2000 domów. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że wobec chaotycznego zabudowywania, w przyszłości trzeba będzie przynajmniej połowę tych budynków znieść, stosownie do wymagań planu regulacyjnego, to możemy sobie wyobrazić, jak drogo miasto będzie musiało opłacić każdy rok spóźnienia w opracowaniu projektu regulacyjnego. Jeżeli cena placu średnio dla jednego budynku wynosi 1000 rb. a po wzniesieniu na nim domu, średnia cena takiej nieruchomości wyniesie 10,000 rb., to za każdy rok spóźnienia w opracowaniu projektu regulacji miasto tracić będzie miliony.

Pomimo, iż projektodawca całą tę sprawę potraktował bardzo poważnie i gruntownie, pomimo, że swe poglądy poparł bardzo ważnymi argumentami, memoriał, jak widzimy, dotąd nie zrobił najmniejszego wrażenia na zarządzie miasta. Nie puszczono go w bieg, nie poczyniono żadnych kroków, co do bliższego rozważenia tej niezmiernie doniosłej sprawy dla półmilionowej ludności i dla przyszłości miasta. Głos projektodawcy pozostał dotąd głosem na puszczy. Na wykonanie planów całkowicie trzeba dwa lata a od czasu opracowania memoriału w tej sprawie zdaje mi się już upłynęło trzy czy nawet cztery miesiące. Gdyby tę sprawę poruszono na nowo energicznie, to w najlepszym razie na przyjęcie memoriału pod uwagę zarządu miasta upłynie jeszcze kilka miesięcy, a potem w najpomyślniejszym razie, czas obliczony przez projektodawcę, co najmniej się podwoi, a więc podwoją się również te miliony, które miasto będzie musiało zapłacić za opóźnienie planu regulacyjnego...

Zenon Pietkiewicz.

Roboty uchwalone.

Nareszcie po długim oczekiwaniu, po nader usilnych zabiegach, sto tysięcy rubli, na roboty miejskie dla robotników, pozbawionych pracy, władze ministerjalne zatwierdziły i dzięki temu, dn. 15 b. m. zwołano zebranie ogólne Komitetu obywatelskiego, celem powołania nowego Komitetu, który się zajmie kierownictwem robót miejskich. Do Komitetu tego weszli pp.: Gustaw Geyer, Zygmunt Rychter, Leon Grohman, Karol Steinert, Adolf Daube, Biederman, Majerhof, Maurycy 2-gi Poznański, Neuman, Hertz, S. Silberstein, Ramisch, Patzek, J. Lipszyc, Hirsberg, Heidrich, Besser, Stern i Świerczewski. Nadto, Komitet ma prawo kooptacji. Roboty będą prowadzone pod kierun-

kiem architektów miejskich. Fundusze zaś będą podlegały kontroli Komisji rewizyjnej.

Przewodniczący pastor Gundelach wezwał obecnych na posiedzeniu robotników, ażeby zechcieli głos zabrać. Jakoż poruszyli oni sprawę zwołania narad robotniczych, na które dotąd nie otrzymali pozwolenia. Przewodniczący jednak zaznaczył, że nie zależy od Komitetu, że w każdym razie Zebranie takie władze gubernialne mają zatwierdzić. Zresztą Komitet zaprasza robotników do udziału w pracy. Robotnicy mogą wejść do nowego Komitetu przez kooptację oddać wielkie usługi w wykazywaniu robotników, którzy najbardziej potrzebują pomocy w formie dostarczenia im pracy przy robotach miejskich.

Z chwilą powołania do pracy nowego Komitetu, który będzie prowadził roboty miejskie, kończy się działalność Komitetu obywatelskiego, udzielającego pomocy pieniężnej robotnikom pozbawionym pracy.

Nazajutrz na posiedzeniu w sprawie robót publicznych zwołano właśnie zebranie Komitetu obywatelskiego, siedemnaste z rzędu, na którym uchwalono pozostały, niewielki już fundusz oddać do rozporządzenia łódzkich towarzystw dobroczynności, które nadal będą wydawały zapomogi starcom, pozbawionym pracy i w ogóle tym ludziom, którzy nie będą zakwalifikowani do robót miejskich.

Ogółem przez cały czas działalności komitetu obywatelskiego zdołano zebrać 97,117 rb. 34 kop.

Członkowie Komitetu obywatelskiego zasłużyli swą pracą bezinteresowną a ciężką na wielkie uznanie. Była to istotnie praca obywatelska, dla ogółu pożyteczna a dla członków uciążliwa, połączona niejednokrotnie z wielkimi przykrościami. Bardzo być może, iż nie zawsze zapomogi dostawały się w ręce właściwe, że korzystali z nich także wydrwigrosze, których niepodobna było uniknąć.

Na bruku łódzkim kwitnie oszustwo wszelakie. Tembardziej mogło się rozwinąć na tle korzystania z zapomóg. Przy najskrupulatniejszej kontroli takich oszustw niepodobna było uniknąć. Byłoby ich mniej a może nawet nie byłoby wcale, gdyby do Komitetu obywatelskiego od samego początku weszli także robotnicy.

Jak wiadomo, robotnicy chcieli zwołać zebranie, celem wyboru własnej delegacji, która pracowałaby wspólnie z Komitetem obywatelskim. Niestety! zaszły przeszkody, które udaremniły te plany. Wprawdzie Komitet obywatelski za pośrednictwem prasy miejscowej wzywał robotników do udziału w pracy, ale ta droga okazała się bezskuteczna. Były jednak sposoby powołania robotników do tej pracy. W niektórych obwodach wprost zaproszono robotników, posiadających odpowiednie kwalifikacje do takiej pracy i oto okazało się, że tam właśnie zapomogi były rozdawane we właściwe ręce. Dostawali je tylko ci, którzy istotnie zasługiwali na to i nie było tam wcale podejść i oszustw, gdyż ścisła kontrola, prowadzona przez robotników powołanych do komitetu, nie dopuściła żadnych oszustów.

Heron.

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

14)

BOMATER.

POWIEŚĆ.

— A wiem mój stary — rzekł książę z dziwnym uśmiechem. Wiem — i dla tego... ha, ha, patrz jaki to pocziwy ten nasz polski ogieniek na kominku: trzaska, piska, skowycze, to znowuż wesoło zaśpiewa a tak rozmaicie a tak zabawnie, że mi rozmowę z panami ministrami najzupełniej zastąpi. Daj mi gwarzyć dalej z moim ogniem...

Poczłapał stary, drapiąc się w głowę w trudnej sytuacji. Pewnie, nie łatwo było wylgać się tym panom, którzy przecież wiedzieć muszą najlepiej, co się w mieście dzieje.

Odeszli mężowie stanu, mocno niezadowoleni, a stary kamerdyner skonfundowany wrócił do pokoju pana i stanął za fotelem.

Książę wszakże nie zauważył jego wejścia. Siedział nieruchomo, wpatrzony w ogień.

Dziwny zaiste, stan dla człowieka czynu — dla człowieka tak niezwyklej, tak niesłychanej żywotności, który skoro nie mógł kipiącej energii swojej wyladowywać na polu bitew, w gwarze wojennej wrzawy, wtedy wrzał w gwarze zabaw najszaleńszych.

— Czyżby się zestarzało panisko moje? myślał stary, patrząc na to zmęczone istotnie w tej chwili, obojętne jakieś i, zniechęcone oblicze pana.

Ale, czego się kamerdyner domyślać nie mógł, to tego, że myśl księcia nie próżnowała w tej chwili. Owszem pracowała bardzo intensywnie. Mimo pozornej apatii postaci, wewnętrzna jego istota przebywała wstrząśnienia poprostu tragiczne. Umysł jego biegł od wydarzeń do wydarzeń i ważył się w niepewności bolesnej.

Tak fatalnie zakończona wyprawa Moskiewska dla księstwa była katastrofą już nie tylko militarną, lecz zwłaszcza i przedewszystkiem polityczną.

Był jego, postawiony na jedną kartę hazardowej gry [Napoleońskiej, był stawką przegraną. Niepodobna było się ludzić. Co najważniejsze, nieszczęśliwy wynik tej gry podważał w posadach nastrój polityczny w kraju. Książę rozumiał dobrze z czem przychodzili Matuszewicz i Mostowski. Na wieść o niesłychanej, przerażającej w swych rozmiarach klęsce runęła wiara w gwiazdę wielkiego zdobywcy. Członkowie Rządu Księstwa zachwiali się w swych dążeniach.

Książę wiedział o głośnej proklamacji tryumfatorskiej i tajemnych pertraktacjach zachęcających do kapitulacji. Nic dziwnego, że niektórzy ministrowie, choć niewątpliwych cnót patriotycznych i najwyższych zasług obywatelskich, spieszyli dać posłuch owym propozycjom ponętym. Polityka Czartoryskich i Ogińskich w wielu umysłach budziła coraz wyraźniejsze sympatje. Książę wiedział, że już w końcu listopada ministrowie Matuszewicz i Mostowski za pośrednictwem Czartoryskiego, jak również zgoła bezpośrednio przez wybitnych komendantów rosyjskich wyciągali rękę do cesarza Aleksandra. Stała się już popularną formuła „*s'il n'est point possible de réunir à la volonté du Destin celle de la nation polonaise et d'offrir à côté de la conquête du pays celle des coeurs de ses habitants...*”

Książę nie miał najmniejszych wahań co do trzymania się powziętych raz wobec Napoleona zobowiązań, nie mniej sprawa ocalenia publicznego przedstawiała się w postaci jaknajopłakańszej. Jedną z największych, najcięższych do zwalczenia trudności był właśnie nastrój rodaków, ludzi wpływowych, skądinąd mądrych i przewidujących, którym trzeba było przeciwstawić teraz swoją politykę, może istotnie na razie mniej po-

netną w swej prostolinijności, ale naprawdę jedyną drogę honoru i sumienia.

On sam osobiście czuł dobrze, że z drogi tej nie zbroczy za nie w świecie, że nie mógłby opuścić Napoleona teraz, po klęsce, choćby dla tego tylko, że właśnie po klęsce. Nie mógłby w duszy swojej znieść myśli, że jak zwykły karjerowicz odwrócił się od człowieka w chwili gdy mu się noga powinęła. Ale sprawa uczuć osobistych była w gruncie rzeczą małej wagi. Z osobą własną załatwiłby się w sposób krótki i kategoryczny. Chodziło o wciągnięcie narodu całego na ową właśnie drogę honoru, która jedynie wydała mu się dla przyszłości narodu prawdziwie wskazaną, mimo wszelkich, gromadzących się ze wszech stron przeciw temu pozorów. Wierzył w to niezłomnie i nie miał wątpliwości. Gotów był walczyć do upadłego, ażeby wszystkich do wiary tej zmusić, ażeby wszystkich przekonać i porwać za sobą bezwzględnie, w tej chwili jednak, w chwili jakiegoś niezwykłego osłabienia fizycznego, zdało mu się, że mu sił do walki tej zabraknie. Dla tego to unikał rozmowy z ministrami i z kimkolwiekby innym ktoby w bladeści jego oblicza, przyćmionych, blaskach spojrzenia oczu jego chciał dopatrywać śladów zachwiania i niepewności.

Fatalny jest stan niemocy fizycznej. Człowiek w chwilach choroby bywa nieszlachetny, zły — poprostu nieuczciwy.

Książę Józef nie wierzył ażeby człowiek zdrowy, normalnie rozwinięty, mógł być tehrzem. Uważał to za rzecz organicznie niemożliwą. Nie wierzył też aby człowiek normalny, w pełni sił męskich, mógł unosić się drobnymi słabostkami niechęci, nienawiści, zawisci, obrażonych ambicji czy niezadowolonej miłości własnej. Rozamiał on, że tem właśnie rycerz wynosi się ponad kapryśną nerwowość mdłych pańienek i bezsilną złośliwość niedolegów wszelkiego rodzaju.

Fatalne efekty gorączki i osłabienia! Odczuwał do Napoleona w tej chwili jakby żal i niechęć — żal za brak pełniejszego zaufania, czem go tylekrotnie w czasie kompanji uraził — i niechęć za jego jakąś upartą parweniuszowską dumę, która w ostatniej wojnie kierowała krokami wielkiego zdobywcy.

Tak niewątpliwie, Napoleon uległ chorobie, którą by można było nazwać ostrą megalomanią, a która fatalnie prowadziła go

do klęsk nieuniknionych. Nie była to już wielka, szlachetna żądza sławy wojennej, lecz pospolite pragnienie zadziwienia tłumów, zadziwienia Europy, zadziwienia świata. Te rosnące z dniem każdym ambicje wywołania podziwu, zburzyły równowagę psychiczną wodza, zachwiały intuicją geniuszu. Niby drobne czerwie, które tocząc skałę wywołują potężne kataklizmy geologiczne, tak te nienasycone ambicje księcia Habsburgów kruszyły opokę sławy wojennej, którą zdobył generał republikański.

Niewątpliwie Napoleon nie był zdrów całkowicie w czasie wyprawy. Cierpiał. Odnowiła się dawna choroba pęcherza, która sprawiać musiała ciężkie bóle. Widziano go przed sprawą moźajską, jak blade, zgorączkowany, trapiiony wewnątrzniemi dolegliwościami zsiadał z konia i sianiał się na nogach, że aż musiał szukać podpory i rozpalone czoło przykładał do zimnego śpiżu armat. Osłabiony organizm osłabił ducha i odjął mu odporność wobec natręctwa małości. Inaczej niepodobna sobie wytłumaczyć tego zjawiska, że wielki wojownik, z pod Arcole i Austerlitz dopuścił do siebie myśli godne zbogaconego mieszczucha, myśli, które go czyniły prawie śmiesznym i bohaterą tragedji Kornelowskiej przemieniały nagle na postać z Moljerowskiej komedji.

(d. e. n.)



LEON CHOROMAŃSKI.

POLOWANIE.

(GROTESKA).

— Tygrysy się gdzieś zapodziały, orły również, pantery, krokodyle! Same nazwy tych zwierząt mile łaskoczą i pachną szafranem. A razem z tymi drapieżcami zapodziały się gdzieś moje mięśnie grube jak liny okrętowe. Cóż mi pozostało? Włókienka zwiewne jak koronki, cienkie jak kibić osy

słodkie jak krem. (Wyborny kąsek dla subtelnego ludożercy).

Małeńki rudy człowiek, podobny do wieiórki, tkwił w śnieżnej pościeli po dziurki od nosa. Było rano. Z jego pokoju otwierał się widok na wielki salon w kształcie nieprawidłowego ośmioboku. Rudawy promień lśnił na białych oddrzwiach.

— Lubię ten salon — myślał rudy młodzieniec — tam tyle spokoju. Z dwu stron — po linii największej odległości — lśnią zwierciadła w ramach hebanowych. Nadaje to tajemniczości — temu cichemu potworowi (?) o dwu szeroko rozstawionych oczach. Czasem przejdzie moja babcia, osoba wiekowa, dogasająca z miękkim szelestem i nieposzlakowanymi manierami. Tu nigdy nikt nie śmieje się głośno. Po ścianach — jak przystało — stare obrazy rodzinne — między innymi piękna brunetka w ramach zaśniedziałych. Jej ramiona w muślinach, pozapinane na guziczki brylantowe są czarujące i okrągłe. Babcia otwiera usta. „To twoja pra-pra-prababka!“ Bagatela! Tu wszystko mileży lub papla: pra! pra! pra!

Wechodzi Anna. Na tacy — kawa, śmietanka, masło, świeże rogaliki...

— Dziękuję ci Anno — mówi panicz. — Jakże się spało?

— Ja zawsze śpię doskonale.

— To widać... Jesteś rumiana jak jutrzienka. Wyjątkowa z ciebie dziewczyna.

— Ach, zaraz wyjątkowa...

— Nie, Anno, nigdy się nie zgodzę, że nie jesteś wyjątkowa. Powiedz mi, czym nie podobny do raka, wyjętego z ukropu i jeszcze parującego?

— Ach, nie, paniezu.

— Ach, nie paniezu... Serce masz czule... O, gdybym ja miał kleszcze, jak najteższy rak morski!

Dziewczyna odeszła, a on, chrupiąc rogaliki, myślał:

— Anna jest wyjątkowa. Namietność do niej pożera mnie... Pewnego dnia rzucam się na nią... I wyglądam, jak rak czerwony, który się wkleszczył w białą centaurzycę. Centaurzyca miota się po pokoju. Nagle czuję zimną iglicę w mózgu i bęc! na ziemię. Zaczynam pisać jak święty Wit! Wechodzi babcia z monoklem i kot z zadartym ogonem. Tymczasem Anna najspokojniej bierze się do cerowania pończoch...

— Oto moje życie!..

Po śniadaniu: na polowanie! na polowanie!

Opasuje się szerokim pasem rzemieniem z blaszkami, przytracza ładownicę i przerzuca na plecy groźną, strzelbę, ciężką i zadługą. Słońce widzi go, jak idzie drogą wśród łopianów i niebieskich podróżników.

Cieho. Gałązki wiszą. Żadna się nie poruszy. On myśli o zwierzętach różnorakich, o centkowanych skórkach, pyskach trójkątnych, oczach gorejących, skokach olbrzymich, o [węzłach — dławicielach, które do góry powstają, a trafione w miękki łeb, miotają się groźnie lecz nieszkodliwie...

Słońce dopieka... O, gdyby tak jar, strumień szemrzący w dole i dzikie maliny!

Czai się laskiem. Ani jednego krzyku ani szelestu. Ani gałązką chrupnie. Mileżenie staje się grobowe, gdy wkroczył w obręb zarośli skupionych i poplątanych. Na parę stóp od ziemi zieloność się urywa. Pnie i gałęzie sterzą martwe, suche...

Na rudem podścielisku igieł opadłych rozsiadły się beczelne rodziny muchomorów. Każdy się wznosi hardo, na białej jak mleko nodze, stoi w kołpaku podwiniętym lub rozwartym w krąg płaski — miedzianożółty, czerwony, purpurowy! Jedne są jakby przysypane ryżem, inne jakby zbluzgane białą pianą wściekłości mileżącej!..

— Krwi! krwi! — warczy on — o gdzieś się zapodziała, zwierzyño! Przeklęte czasy!

Lasek wkrótce się urwał. Myśliwy znowu się wlecze po słońcu, wśród pól płaskich, potem — przez łąkę rudawą.

Nagle między krzakami, ponad rowem, przemyka się jakieś zwierzątko. Czai się, przystaje, załamuje się grzbietem w tajemniczą arabeskę.

Cóż to za zwierzę mileżący głucho, krwiożerczy, wylęgły i zadomowiony w norach nieodszukanych?..

Pałaca czerwona niecierpliwosć wybuchła w myśliwym. Długo mierzy... Chciałby zatkać uszy przed hukiem piekielnego wystrzału!

Gdy dym opadł, biegnie ku zwierzyńcu.

Zwyczajny kot swojski! Wybrał się w pole z niewinnym zamiarem schrupania kilku piskląt żółtdzióbeków, wyważonych łapką aksamitną z ciepłego gniazda i polizanych po główce źle upierzonej, zanim się je uśmierci!

Teraz wypręża się na dwu łapach, wle-
cze zadem, trafiony widocznie w odwlok.
Otwiera maleńką paszczę, jak ozdobne pu-
delko, wybite różowym atłasem, gdzie pani
przed snem składa swe pierścienie.

Język drży febrycznie, jak puszczone
w ruch sprężyna, kot dygocze. Włos mu
się zjeżył. Otrząsa z każdego włosa pot
strachu panicznego.

Błękitne oczy goreją łuną ekstatyczną.

Gdy morderca się zbliża, ani śladu
w nich wzgardy, nienawiści, odrazy! Nie —
tylko braterstwo ciche, błękitne, błagalne.

— Ratusz mnie — wołają te oczy — ra-
tuję! Umieram!

Widnokrąg wydaje się niezmierny,
a kot umierający — tem centrum, z które-
go promienieje męczeństwo na cztery stro-
ny świata.

Piorun zgrozy wstrząsa sercem myśli-
wego! Zarzuca wzgardliwie głupią strzelbę,
która wypaliwszy, nie umie już szkody na-
prawić i zwolna, żałośliwie oddala się od
miejsca kaźni.

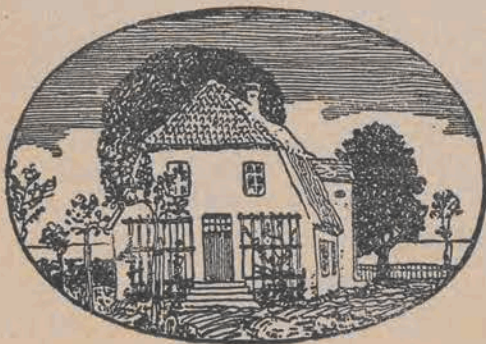
Wraca do domu, kładzie się na łóżko.
Kryje głowę w poduszkach i mokre oczy...

Po chwili wchodzi Anna prosić go na
obiad.

— Proszę się przy mnie... tu, na kra-
wędzi łóżka...

Anna siada. On patrzy w skupieniu
w jej oczy, ale w tych oczach spokojnych
niema drżenia ani oczekiwania. Bierze jej
rękę i lekko całuje w dłoń. Jest to ekspja-
cja za kota męczeństwo i hołd, oddany mar-
murowej piękności i alabastrowemu zdrowiu
dalekiemu — ach! tak dalekiemu od hi-
sterji!

Potem odwraca się do ściany, wzruszo-
ny gwałtownie, jakby dokonał wielkiego
bohaterstwa...



Cudowne dziecko.

(OPOWIEŚĆ).

Miał ledwie siedm lat, kiedy go po raz
pierwszy postawiono na estradzie, w aksamitnej
kurtee z koronkami, na koncercie dobroczynnym
w Trocadero.

Doznał wielkiego powodzenia. Pod koniec
nie był już w stanie trzymać skrzypiec...

Po wykonaniu: „Kakadu der Schneider“ —
obeaulowywał go cały komitet.

Pan Teodor Franz posłał po niego nazajutrz.
Ten wielki impresario chciał go widzieć. Wtedy
pan Emmanuelo de-las-Foresas udał się ze swym
synem do niego. Pan Emmanuelo de las Foresas
był bardzo podniecony. Wiedział, że nadeszła
wreszcie „ta chwila“.

Pan Teodor Franz siedział w swym pry-
watnym gabinecie, przy wielkim biurku w swej
ulubionej pozie — Napoleona pod Lipskiem.

Kiedy tak siedział — wszyscy w przedpo-
koju oczekiwali go cierpliwie. Wiedzano, że
siedzi i podbija sobie świat, więc mu nie prze-
szkadzano. Adelina Patti siedziała u niego, cze-
kając tak z dziesięć minut, — z dziesięć lat te-
mu...

Pan Emmanuelo de las Foresas również
czekał, nie mając śmiałości nawet wąsów pod-
kreścić. Kędzierzawy chłopiec czuł całą ważność
chwili i w milczeniu ssał swoje palce.

Zupełna cisza panowała w gabinecie pana
Teodora Franza, w którym fotografie wszech-
światowych znakomitości spoglądały ze ścian.

— A zatem — jak mu na imię? —

Pan Emmanuelo de las Foresas drgnął.

Kiedy pan Teodor Franz mówił, — głos mu
huczał, jakgdyby chciał przekrzyknąć fortepian
Gerarda. Z tymi, którzy go widzieli po raz
pierwszy, zawsze działo się to samo, co z pa-
nem Emmanuelo de las Foresas. Pan Teodor
Franz wiedział o tem, jednakże uważał za sto-
sowne, aby ludzie drżeli...

— A zatem — jak mu na imię? —

Pan de las Foresas wykrztusił:

— Karolek de las Foresas —

— Hm... — a skąd pan rodem? — Tu pan
Teodor Franz prawie niewidzialnym ruchem ręki
dał do zrozumienia, że pan Emmanuelo de
las Foresas może usiąść.

— Dziękuję panu — Usiadłszy, pan de las
Foresas nieco oprzytomniał. Ulokował malca
sobie między kolanami i począł mówić. Pocho-
dził z Chile. Dziwnem się to może wydać, że
hiszpańscy grandowie zamieszkali w Chile.
Jednakże pan Emmanuelo de las Foresas tak
właśnie uczynił. Następnie — pronimciamento.

To „pronimciamento“ było wielką tajemni-
cą w historii pana de las Foresas.

Dokonało się w Meksyku. W jakim stosunku było ono do Hiszpanii — któż zgadnie? Wogóle, kiedy pan Emmanuelo de las Foresas opowiadał swoją historję, to zawsze dochodził do tego punktu, gdzie nie tak łatwo było go skontrolować. Cała rzecz polegała na tem, że zbyt szybko przenosił się z jednej części świata do innej... Nigdy nie można było wiedzieć, po jakiej stronie oceanu w danej chwili się znajduje. Aż tu ci naraz kończył wyspami Kanaryjskimi...

Był właśnie tam, kiedy pan Teodor Franz uderzył pięścią w stół.

— Dobrze, — rzekł — a zatem urodził się w Prowancji.

Pan Emmanuelo de las Foresas wytrzeszczył oczy:

— W Prowancji? —

— Tak — łaskawy panie! — W Prowancji. Pan jesteś — bourgeois, łaskawy panie, — i w dodatku z Prowancji!

Pan Teodor Franz podniósł się.

— Publiczności uprzykrzyło się już wszystko egzotyczne, łaskawy panie, publiczność nie wierzy w godności na estradzie; publiczności uprzykrzyło się już wszelkie pomysły. Publiczność dziś już nie chce blagi!

Pan Teodor Franz wykrzykiwał każde zdanie, niby komendę. Słowo „publiczność“ brzmiało, jak uderzenie w bęben turecki.

— Publiczność dziś jest już znużona. Publiczność łaknie czegoś solidnego. Publiczność trzeba dziś zdobywać spokojnie, łaskawy panie!

Pan Teodor Franz pocił się. Mądrość publiczności podniecała go aż do ekstazy.

Pan Emmanuelo de las Foresas, w odpowiedzi, przytakiwał tylko jego każdemu zdaniu.

Pan Teodor Franz rzucił okiem na kędzierzawego chłopczykę.

— Ma siódmy rok?

— Akurat — siedm.

— Powiedzmy zatem: sześć. Może uchodzić za sześcioletniego.

Pan Teodor Franz nachylił się nad nim.

— Co to? — wskazał na brylantową klamrę za dziesięć franków, którą Charlot de las Foresas nosił na kołnierzu. — Proszę to zdjąć!

— Jest to pamiątka rodzinna, — rzekł pan de las Foresas.

— Łaskawy panie, — pan Teodor Franz, mówiąc to, mógł być zagłuszyć orkiestrę — publiczność nie wierzy w żadne pamiątki rodzinne!

Pan de las Foresas zdjął klamrę.

— A teraz do sprawy — co się tyczy sztuki. Repertuar?

— Trzy numery.

— I „Schneider der Kakadu“, — wtrącił kędzierzawy chłopiec.

— Dobrze, łaskawy panie. Opracuję warunki. W krótkce dowiedzie się o nich panowie — odemnie.

Pan Emmanuelo de las Foresas oraz kędzierzawy chłopczyzna wyszli.

Pan Teodor Franz zasiadł przy biurku. Pociął ogryzać paznokcie. Pan Teodor Franz zawsze ogryzał paznokcie — gdy myślał poważnie.

Nastał ostatni dzień pochodzenia rodziny z Chile.

Pan Teodor Franz nie miał zbytniego zaufania do rzeczy egzotycznych, — „publiczność już straciła apetyt na rzeczy krzykliwe“.

Pan Teodor Franz więcej miał zaufania do rzeczy idyllicznych.

Muzycy jego zawsze pochodzili z rodzin burżuazyjnych.

Największem jednak powodzeniem cieszyła się jedna amerykanka, którą wykrył w kościele i która nigdy nie występowała w teatrze, ponieważ sprzeciwiała się to jej zapatrywaniom religijnym. Z tej też racji rozculił on obie półkule globu, gdy razu pewnego udał się z nią do kościoła...

Wieczorem pan Teodor Franz podał w dziennikach do wiadomości publicznej, że mały cudowny skrzypek, Charlot Dupont pobiera obecnie lekcje u profesora Dinelli.

„Jak wiadomo, ten mały genjusz z Prowancji należy do zacnego orleanistycznego, biurokratycznego rodu — Dupont“.

Pan Teodor Franz był bardzo zadowolony ze słów: „ród orleanistyczny, biurokratyczny“. Brzmiało to wspaniale! Właściwie mówiąc, zupełnie niechcący przyszło mu to do głowy. Tak, brzmiało to wspaniale: „orleanistyczny, biurokratyczny ród Dupont“. Otwierala się tu bowiem cała perspektywa burżuazyjnej ucziwości i porządku...

Pan Teodor Franz — rzec można — chwycił się za poręcz schodów powodzenia.

Nazajutrz pan Teodor Franz złożył wizytę rodzinie de las Foresas. Chciał wiedzieć, ile też im można zaofiarować... Musiał wspinać się aż na szóste piętro; w przedpokoju ujrzał zniszczone wierzchnie ubranie, mnóstwo dziecięcych paltocek, kupionych w sklepie jako gotowe. Czekał w nieopalonym „pokoju dla gości“, wśród odrażającego zapachu potraw.

Pan Teodor Franz zaofiarował ośmset franków miesięcznie w ciągu pół roku. Pan Emmanuelo de las Foresas wziął połowę, jako zadatek, i zgodził się.

(d. e. n.)



JALMUŻNA. *)

(Z hiszpańskiego przetłóżył Z. M.)

O godzinie dziewiętej wieczorem, hrabia de Sagreda wszedł do swego klubu, na boulevard des Capucines. Wnet rzucili się ku niemu lokaje, aby odebrać z jego rąk laskę, cylinder, niezliczonymi polyskującymi refleksami i kosztowne futro, które opuszczając jego ramiona, ukazało niepokalanie śnieżny gors koszuli, gardenię u klapy od fraka, wreszcie cały czarno-biały uniform, dyskretny a wytworny, jak przystało na prawdziwego gentleman'a, powracającego z obiadu.

Bywalcy klubu wiedzieli już, że hrabia był zrujnowany. Jego majątek, który przed piętnastu laty zyskał był w Paryżu niejaki rozgłos, przez długi czas rzucany z przepychem na cztery wiatry, był teraz wyczerpany doszczętnie. Hrabia żył z resztek swego dobrobytu, podobnie jak rozbitki, którzy utrzymują się jeszcze przy życiu szczytkami ocalałymi z zatopionego okrętu, odwołując, wśród ustawicznego niepokoju, nadejście ostatniej godziny. Nawet lokaje, którzy krzatali się dokoła niego, niby ufraczeni niewolnicy, wiedzieli o nieszczęściu, jakie go spotkało i rozprawiali między sobą o jego niedzy; ale najłżejszy błysk urągania nie macił bezbarwnej toni ich oczu, skamieniałych w służalstwie. Czyż nie był, zaiste, wielkim panem? Wszak rzucał pieniądze z takim majestatem!.. W dodatku był szlachcicem z dziada i pradziada i ten właśnie dymek starożytności rodu, jakim przepojone było jego szlachectwo, napawał jakąś ceremonjalną powagą wielu mieszczan, których przodkowie byli twórcami Wielkiej Rewolucji. Nie był to żaden hrabia papieski, z tych, którzy pozwalają się utrzymywać przez niewiasty; nie był Sagreda w niczem podobny do włoskich markizów, którzy kończą na szulercie przy kartach, był to prawdziwy hidalgo i grand hiszpański. Może — któryś z jego przodków figurował w Cydzie, Ruy Blas'ie, albo innej ze sztuk bohaterkich, grywanych na scenie „Komedji Francuskiej“?

Hrabia wszedł na salony klubu, pewnym siebie krokiem, z głową do góry podniesioną, kłaniając się znajomym z lekkim uśmiechem, w którym była mieszanina wyniosłości i swawoli.

Dobiegał już czterdziestki, ale był to jeszcze *le beau Sagreda*, jak go ochrzciły przed laty noce motyle — damy od Maxyma i ranne ptaszki — nadobne amazonki z Lasku Bulońskiego. Trochę siwych włosów ponad skroniami i trójkącik zmarszczek koło oczu, zdradzały wysiłek egzystencji nazbyt szybkiej, gdzie motor życio-

wy działać musiał ustawicznie pod najwyższym ciśnieniem. Ale oczy jego, przenikliwe i pełne melancholji, płonęły, jeszcze całym ogniem młodości; te oczy zyskały mu przydomek „maura“ w gronie jego przyjaciół i przyjaciółek. Wicehrabia de la Tremisinière, nagrodzony przez Akademię za źródłowe studjum o jednym ze swych przodków, który był towarzyszem wielkiego Kondeusza, człowiek cieszący się wielkim szacunkiem wśród antykwaryjuszów z lewego brzegu Sekwany, którzy nastęrczali mu najgorzej szpargały, jakie znaleźć mogli w swych sklepach, nazywał go Velasquezem i był niezmiernie zadowolony, że ciemna i z lekka zielonkawa cera hrabiego, jego wąs czarny, w górę podkreślony i melancholijne oczy, nastęrczyły mu sposobność pochwalenia się swymi niepospolitemi wiadomościami w zakresie malarstwa hiszpańskiego.

Wszyscy w klubie wyrażali się o ruinie hrabiego de Sagreda, z dyskretnym współczuciem. Biedny hrabia! Żadnego nowego spadku na widoku! Nie jawiła się na drodze jego życia żadna miljonerka amerykańska, która by skusiła jego osobę i jego tytuły!.. Trzeba było coś przedsięwziąć, aby mu przyjść z pomocą.

A on szedł wśród owego ogólnego współczucia niemego i uśmiechniętego, niczego nieświadomy, zasłonięty tarczą swej wyniosłości, biorąc za wyraz podziwu to, co było tylko bolesną sympatją, zmuszając swe otoczenie do odgrywania przykrej komedji, aby mieć złudzenie, że oddycha tą samą, co dawniej atmosferą; zdawało mu się, że wszystkich innych zdoła w błąd wprowadzić, gdy, w rzeczy samej, sam siebie oszukiwał.

Sagreda nie miał żadnych złudzeń co do swej przyszłości. Wszyscy krewni, którzy mogli uchronić go od upadku, w porę napisanym testamentem, uczynili już to byli przed laty, schodząc kolejno ze sceny tego świata. Tam nie było już nikogo, ktoby mógł wspomnieć w stosownej chwili jego nazwisko. Miał jeszcze tylko w Hiszpanji dalekich krewnych; były to osobistości znakomite, z którymi łączyły go wprawdzie sympatje rodowe. Mówili mu po imieniu, ale żadnej nie mógł się od nich spodziewać pomocy, prócz dobrych rad i napomnień za jego szaloną rozrzutność... Wszystko się skończyło. Piętnaście lat przepychu wyczerpało doszczętnie bogatą spuściznę, z którą niegdyś Sagreda przyjechał był do Paryża. Obszerne wsie Andaluzji, obfitujące w znakomite stajnie i obory, pozmiały właścicieli, nie zaznawszy prawie rządów tego pana, wystawnego i zawsze nieobecnego. Potem przeszły w obce ręce, zasobne zbożem stodoły Kastylli, olbrzymie składy ryżu w Walencji, folwarki w północnych prowincjach Hiszpanji, cała niezmierna puścizna dawnych hrabiów de Sagreda, nie licząc majątków, jakie odziedziczył po różnych ciotkach, które w panieństwie zeszyły ze świata i znacznych zapisów innych krewnych, umarłych ze starości w swoich starodawnych siedzibach.

Paryż i wytworne miejscowości letnie w lat

*) *Compassion*. — Ze zbioru nowel p. t. *Luna Benamor*.

niewiele pochłonięły cały ów majątek, na który złożyły się wieki. Wspomnienie jakichś miłostek z dwiema modnymi aktorkami; nostalgiczny uśmiech tuzina kosztownych i cenionych dam z półświatka; zapomniana sława kilku pojedynków; pewien urok beznamietnego i śmiałego gracza i reputacja szermierza o iście rycerskim zakroju, w sprawach honoru nieugiętego — oto wszystko, co pozostawało hrabiemu de Sagreda po ruinie, jaka go dotknęła.

Żył na koszt swej dawnej świetności, zaciągając nowe długi u pewnych lichwiarzy, którzy na wspomnienie innych nieszczęsnych przesileni, wierzyli, że zdoła jeszcze podźwignąć się z upadku! „Los jego był rzucony“, jak sam o sobie mawiał hrabia. Gdyby mu już nic innego nie pozostawało, miał uciec się do ostatecznej rezolucji. Zabić się?.. nigdy. Ludzie jemu podobni wówczas tylko mogą popełnić samobójstwo, gdy chodzi o długi honorowe. Jego przodkowie, pełni zasług i chwały, miewali krociowe zobowiązania wobec ludzi, którzy nie byli im równi, a nie myśleli się zabijać. Gdyby wierzyli, że zamknęli przed nim drzwi, a lichwiarze zagrozili mu skandalem, hrabia de Sagreda miał uczynić ostatni wysiłek, porzucając na zawsze Paryż i jego rozkosze. Wśród jego przodków byli żołnierze i koloniści. On postanowił sobie, że wstąpi do legji zagranicznej w Algerze, albo popłynie do tej samej Ameryki, którą niegdyś podbili jego przodkowie i stanie się konnym pastuchem wśród pustyń Chilijskich, albo na niezmiernych równinach Patagonji.

Tymczasem, choć ostateczna chwila zbliżała się szybkim krokiem, to okrutne życie z dnia na dzień, które zmuszało go do ustawicznych kłamstw i kompromisów, było najszczęśliwszym okresem jego egzystencji. Z ostatniej podróży do Hiszpanji, jaką przedsięwziął w celu zlikwidowania resztek swoich posiadłości, powrócił do Paryża w towarzystwie młodej kobiety, panny z prowincji, którą był zdobył swoim urokiem wielkiego pana, a w której uczuciach dla niego było prawie tyleż uległości i podziwu, co prawdziwej miłości. Kobieta!.. Sagreda po raz pierwszy obejmował myślą całe znaczenie tego wyrazu, jakgdyby nie był rozumiał go dotychczas.

Obecna jego towarzyszka — ta była kobieta: nerwowe i rozkapryszone samice o malowanym uśmiechu i sztucznych podniętach, które wypełniały poprzednie jego życie, należały do innego rodzaju ludzkiego.

I oto teraz kiedy zjawiała się kobieta prawdziwa, opuszczały go na zawsze pieniądze i dobrobyt!.. I oto teraz, kiedy nieszczęście zaglądało mu w oczy, jednocześnie zjawiała się miłość!.. Sagreda, biadając nad utratą swej dobrej gwiazdy, wyteżał wszystkie siły, aby utrzymać się przy dawnym przepychu. Mieszkał w tym samym domu, towarzyszkę swą obsypywał takimi samymi podarkami, jakie ongi składał w hołdzie przyjaciółkom z innych czasów i od czuwał niemal ojcowską radość wobec dziecinnych wybuchów podziwu i naiwnej radości biednej dziewczyny, oszłomionej wspaniałościami Paryża.

Sagreda pogrążał się w otchłań coraz głębiej — tak, pogrążał się, ale z uśmiechem na ustach, zadowolony z siebie, ze swego obecnego życia, z tego snu słodkiego, który miał być jego snem ostatnim, a cudem jakimś trwał tak długo. Szczęście, które odwróciło się było od niego w ostatnich latach, pochłaniając reszki jego majątku w Monte-Carlo, w Ostendzie i w wielkich klubach bulwarowych, zdawało się teraz dopomagać mu, jakgdyby udobruchane jego nową egzystencją. Co wieczór, po obiedzie spożytym w jednej z modnych restauracji, pozostawiał swą towarzyszkę w teatrze i kierował się do swego klubu, jedyne miejsce, gdzie oczekiwało nań szczęście. Nie była to gra wygórowana. Zwykle partje *écarté* z najserdeczniejszymi przyjaciółmi, towarzyszami młodości, którzy mogli nadal prowadzić wesołe życie, dzięki majątkom niewyczerpanym, albo skryształizowali swoją egzystencję w bogatym małżeństwie, zachowując z dawnych nawyków zwyczaj uczęszczania do wytwornego klubu.

(dok. nast.)



JACK LONDON.

Z A U F A N I E.

(Z angielskiego).

(Dokończenie.)

Od dłuższego czasu brak był absolutny gazet, sześć bowiem ekspedycji pocztowych kolejno zawieruszyło się gdzieś w drodze, na rzece Wielkiego Lososia. Zresztą Peutfield nie liczył na żadną wiadomość od Harrego i jego żony, choć przeczuwał, że niewątpliwie przedsięwzięli już ową podróż poślubną, o której tak długo próżno marzył. Niesłychana gorycz przepełniała go na każde o tem wspomnienie, lecz z uczu swoich nie zwierzał się przed nikim.

Upłynął marzec, kwiecień miał się ku końcowi, gdy w pewien poranek wiosenny młoda kobieta uprosiła swojego małżonka, aby puścili się po lodzie na przestrzeni kilku wiorst, aż do miejsca, gdzie wznosi się domostwo Siwash Peta. Żona bowiem Peta, rodem ze Stewort River, poleciła jej powiedzieć, że synek jej zaniemógł, a Lashka, która ubóstwiała dzieci i wyobrażała sobie, że jest nader biegła w sztuce leczenia, pragnęła koniecznie zobaczyć chorego. Nałożono psom uprząż, poczem młoda para podążyła lodowym szlakiem potoku Bonanzo.

Wiosnę czuć było już w powietrzu, zimno dawało się mniej we znaki i chociaż jeszcze śnieg pokrywał pola, podziemny szmer wody wskazywał, że atmosfera staje się łagodniejsza.

Na lodzie potworzyły się liczne szczeliny i należało okrażać okolicę, aby wytworzyć nową drogę. Na jednym z przejść u podnóża skały, zbyt wązkim, aby się na niem skrzyżować mogły podwójne sanie, dobiegł Peutfielda odgłos dzwonków, zatrzymał więc wóz.

Teraz oczom jego ukazały się liczne psy ciągnące tabor ładowny.

Na przodzie siedział mężczyzna w pozycji dobrze znanej Peutfieldowi, za nim podążały dwie kobiety.

Peutfield rad był, że mu towarzyszy Lashka, gdyż poznał Harrego i nie mógł się spodziewać bardziej sprzyjającej chwili do spotkania się z niewiernym druhem. Niechaj się teraz tłumaczy! — Harry dostrzegł również współnika i zatrzymał korowód.

— Jakże się miewasz drogi przyjacielu, — zawołał, wyciągając dłoń, którą Peutfield podjął w milezeniu.

Podczas tego dopędziły ich kobiety. Jedną była Mabel Holmes, drugą siostra jej, Dora. Jerzy zdjął futrzaną czapkę i podał rękę Dorze, poczem zwrócił się do Mabel, promieniejącej niemal szczęściem. Chciał jej powiedzieć: „Witam panią, pani Hutchinson“, lecz nazwisko to nie mogło mu przejść przez usta, a więc ograniczył się na krótkim: „witam panią“, co sprawiło, że zdziwienie odbiło się na twarzy nowo przybyłej.

Sytuacja była tak przygniatająca, że przykrzejszej nie mógł pożądać Peutfield. Mabel zdradzała wzruszenie, podczas gdy Dora, którą najwidoczniej sprowadzono tu dla łatwiejszego pojednania — wybuchnęła:

— Co się z tobą dzieje, Jerzy?

Zanim zdobył się na odpowiedź, Harry ujął go pod ramię i odprowadziwszy nieco dalej zapytał, wskazując oczami Lashkę:

— Wytłumacz mi, co ma za znaczenie ta kobieta na twoich saniach?

— To nie należy do ciebie, — odparł Peutfield wyniośle.

— Na Boga, Jerzy, — oburzył się Harry, — powiedz, skąd się wzięła ta „squaw“? Jakże mam sobie tłumaczyć jej obecność, gdy nawet mi nie mówisz czyja jest ona?

— A więc, — rzekł Peutfield, lubując się wyrazem, który miał pomścić doznaną ciężką krzywdę, — ona jest moją „squaw“ i nazywa się pani Peutfield.

Harry, aż podskoczył z przerażenia, lecz jego współnik już się był oddalił i przystępując

do kobiet, które zmieszane trzymały się na uboczu, pytał Dory.

— Czy się pani bardzo zmęczyła drogą? Czy nocami zimno nie było zbyt dokuczliwe? A pani Hutchinson, jakże zniosła podróż?

— Idjoto! — zawołała Dora, — a więc czytałeś ów niegodziwy artykuł. Sądząc z zachowania się pańskiego, domyśliłam się, że coś zaszło.

— Jak to mam rozumieć? — bełkotał Jerzy.

— Omyłka sprostowana została w numerze następnym, lecz nam nie przyszło wcale na myśl, że nędzne to piśmidło wpadło ci do ręki.

— Co to wszystko znaczy? — pytał Peutfield, podczas gdy serce tłukło mu się w piersi, czuł bowiem, że znajduje się nad brzegiem przepaści.

— Ogólnie też utrzymują, — kończyła szybko Dora, — że po wyjeździe Mabel i moim — Myrdon Avenue świecić będzie pustkami. Ja bowiem jestem panią Hutchinson, a nie Mabel, jak przypuszczasz.

— Myślałem tak istotnie, — odparł Peutfield powoli, — niestety, zbyt późno poznaję, że zbłądziłem. Reporter najwidoczniej zamienił imiona, a dzienniki z Portland i Seatte powtórzyły wiadomość w tej samej formie.

Zamilkł na jakąś chwilę, a twarzyczka Mabel zwrócona była ku niemu w nieskończonej mece oczekiwania.

Harry zdawał się być niezmiernie zajęty psami, Dora przelotne spojrzenia rzucała Lashce.

Jerzy Peutfield, jak gdyby jednym rzutem objął przyszłość. Zobaczył się na saniach obok ułomnej indjanki, rzekł więc z prostotą, patrząc w oczy Mabel:

— Serdecznie boleję, że się tak stało, sądziłem żeś zaślubiła Harrego. Kobieta, siedząca w saneczkach jest moją żoną!

Mabel chwiejąc się, zwróciła się do siostry i rzuciła się jej w objęcia. Harry zdawał się być ciągle zajęty psami. Spojrzenia Peutfielda błędziły długo po twarzach obecnych, poczem zatrzymały się na saniach.

— Nie możemy dłużej zwlekać, — powiedział, zwrócony do Lashki, — wszak chodzi o chorego.

— Ale, ale, Harry! — wołał, gdy psy już ruszyły, — ulokuj się w dawnej chacie. Ostatnio stała ona pustkami, zbudowałem bowiem drugą na wzgórzu.

Przełożyła *Adela Z.*

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ŁOGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.— półr. rb. 3.— kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.— „ „ 3.50 „ „ 1.75
Za granicą i za oceanem „ „	„ „ 10.— „ „ 5.— „ „ 2.50
Za odnośnienie do domu 15 kop. kwartalnie.	Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k. Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa“.

Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Gliszczyńska.

Kierownik literacki Wacław Grubiński.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Biłłskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.